



WSZYSTKIM CZYTELNIKOM  
WESOŁYCH  
ŚWIĄT  
ŻYCZY „KAMENA”



czas 2552/1976/8

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# KAMENA

LUBLIN 18 IV 1976 Nr 8 (598)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## LUBELSKIE SPOTKANIA PLASTYCZNE 76

**W** OKRESIE od 26 do 28 marca br. Osiedlowy Dom Kultury Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej gościł kilkudziesięciu artystów z różnych ośrodków kraju, któ-

rzy po raz drugi przyjechali do Lublina, tym razem w celu przedstawienia projektów plastycznych, koncepcyjnie nawiązujących do istniejącej struktury urbanistyczno-architektonicznej LSM i wprowadzających pewne ważne i dotąd nie istniejące elementy humanistyczne w przestrzeń fizyczną oraz społeczną osiedli. Pokaz ujawnił rozmaite szkoły myślenia, sposoby podejścia do problemu, satysfakcjonował różnorodnością i wysokim na ogół poziomem propozycji, co zresztą spotkało się z uznaniem zarówno wybitnych fachowców, jak i samych mieszkańców LSM, którzy w ostatnim dniu imprezy żywo dyskutowali z autorami. Te momenty zdają się rozpraszać wątpliwości, jakie towarzyszyły narodzinom inicjatywy, co nie znaczy, że już teraz, po drugim, propozycyjnym etapie przedsięwzięcia jakies generalne wnioski wartościujące były uprawnione. Obecnie rozpoczyna się bowiem etap najważniejszy, bo realizacyjny, którego pomyślność jest chyba bardziej zależna od sprawności i konsekwencji organizatorów — do których trzeba zaliczyć także te 40 przedsiębiorstw i instytucji lubelskich, partycypujących finansowo i technicznie w imprezie — niż od artystów. Jakość koncepcji plastycznych jest już znana, niewiele natomiast można powiedzieć o faktycznej „mocy przerobowej” wykonawców. Jest to problem niezmiernie ważny i trudny; doświadczenia dotychczasowych i podobnych przedsięwzięć krajowych dostarczają smutnych przykładów upadku pięknych i społecznie potrzebnych idei właśnie w momencie przystępowania do ich realizacji. Na dodatek skala „Lubelskich Spotkań Plastycznych 76” jest wyjątkowo duża. Pożyjemy, zobaczymy, damy wyraz naszym opi-



Projekt rzeźbiarski Bronisława Chromego  
Fot. J. Trembecki

Dokończenie na str. 8—9

## Ostry dyżur

Małgorzata Sawicka

**P**RZEZ otwarte drzwi widzę okno wypełnione ołowianym niebem, konarami drzew i dachami kamienic. Na statywie, zawieszona do góry dnem, pękata butelka z bezbarwnym płynem. Przez plastikową rurkę syczy się do ręki glukoza. Palce są zaciśnięte. Kilka białych postaci krząta się wokół leżącej kobiety. Docierają tylko strzępy rozmów.

— Zlecenie na krew wypisane?  
— Wypisane. Be minus. Krew oddana do krzyżówki.

— Spokojnie, niech pan! nie utrudnia. Ręki prozę nie zginać, bo się pan! pokłuje.

W niewyraźny rytm słów wdziera się głos podobny raczej do miauknięcia niż do płaczu.

— Chłopczyk.  
— Jaką godzinę wpisać, pan! adiunkt?  
— Dwunasta.

Jedna z sióstr wynosi poplakujące zawinłatkę, druga rozpościera arkusz papieru na drzwiach i od-

Dokończenie na str. 4—5

Małgorzata Hejwowska

### MLECZNA ŁĄKA

Niech traw miękkie kajdany nogi mi oplączą,

niech mnie weźmie w ramiona  
zieloność dysząca,  
aż się stanę gałęzią rozkwitniętą w słońcu  
i jak ona, pełna miodowego słońca.

Rachityczne świerszcze, o złych, żabich  
pyskach

wygrają mi szeptania,  
rozmowy łąkowe,  
a na czubki trawek o spłowiałych witekach  
ciężko się wgramolą żuki chitynowe.

Aż uśnie łąki zielona żrenica,  
nakryta niebieskawą, wypukłą powieką,  
a kwiaty, jak motyle po tańcu zdyszane,  
pić będą z pełnych wymion skapujące  
mleko.

Dokończenie na str. 8—9

# w którym żyjemy

## ROZRODCZOŚĆ

**O**STATNI rocznik demograficzny ONZ znów wywołał burzliwe dyskusje, w jaki sposób ograniczyć rozmnażanie się gatunku ludzkiego. Jeszcze w roku 1600 było nas na Ziemi tylko pół miliarda, dziś już jest nas cztery miliardy, pod koniec wieku będzie sześć. Co dalej, lepiej nie liczyć.

Najwięcej „kłopotów” demograficznych następcza kontynent azjatycki. W Indiach co roku przybywa około 15 milionów ludzi, dla których jest coraz mniej jedzenia, nie mówiąc o pokryciu innych potrzeb. Już od kilku lat prowadzi się w tym kraju intensywną propagandę używania środków antykoncepcyjnych, ale zdaniem fachowców zaledwie 15 proc. małżeństw stosuje je w praktyce. Stąd też przeciętna rodzina składa się z sześciu osób. Jeżeli tak pójdzie dalej, na początku XXI wieku Indie będą miały same tylu mieszkańców, ilu ma dzisiaj cała nasza planeta.

W tej sytuacji rządy prowincjonalne zamierzają wprowadzić szereg drastycznych a niezwyczajnych zarządzeń. Projekt ustawy, opracowany przez rząd Pendżabu, przewiduje, że za urodzenie trzeciego dziecka matka zostanie skazana na rok więzienia i wysoką grzywnę — chyba że dwoje poprzednich dzieci jest jednej płci lub jeżeli są to kaleki. Kary będzie można uniknąć, jeżeli po urodzeniu się trzeciego dziecka jedno z małżonków podda się sterylizacji. Tu warto nadmienić, że sterylizacja jest w Indiach oficjalnie popierana i w szpitalach wypłaca się każdemu, kto podda się dobrowolnie takiemu zabiegowi, 40 rupii. W New Delhi istnieją swego rodzaju naganiacze, którzy za każdą przeprowadzoną do sterylizacji osobę otrzymują premię w postaci 5 rupii.

Dla odmiany rząd w Uttar Pradesh ogłosił, że w kwietniu nie wypłaci pensji miesięcznej temu urzędnikowi państwowemu, który w terminie do 1 maja nie przyprowadzi do sterylizacji dwóch osób.

Restrykcje wprowadza się również w Tajlandii. Ludność tego kraju od roku 1911 zwiększyła się z 8 do 32 milionów. Szczegóły restrykcji nie są jednak jeszcze znane.

Natomiast w Singapurze tymczasowo ograniczono się do cudzoziemców — chodzi głównie o robotników, przybyszających tu z różnych krajów Azji. Otóż każdy cudzoziemiec przed otrzymaniem dokumentu, upoważniającego go do podjęcia pracy, podpisuje zobowiązanie, że podda się sterylizacji, gdy będzie miał dwoje dzieci. Jeżeli nie podpisze, zostanie wydalony. Jeżeli zaś później nie dotrzyma pismnego zobowiązania, nie będzie mógł ożenić się z obywatelką Singapuru (lub obywatelką, co uniemożliwi mu naturalizację). Poładno zostanie pozbawiony opieki lekarskiej, a także nie będzie mógł wynajmować mieszkania jako główny lokator. Kto zaś z rodziców będzie chciał wybrać sobie szkołę według własnego uznania — co jest tam bardzo popularne — musi najpierw poddać się sterylizacji, w przeciwnym wypadku władze zadecydują, do jakiej szkoły ma uczęszczać jego dziecko.

Wszystkie te projekty budzą oczywiście wiele kontrowersji o charakterze prawnym i moralnym.

## 140 X PORNO

**P**ISALISMY przed kilku miesiącami, że prezydent Giscard d'Estaing postanowił przeciwstawić się zalewającej Francję fall filmów pornograficznych. W tym celu na jego polecenie podniesiono dwukrotnie podatki od kin, które wyświetlają tego rodzaju filmy — z 17,6 proc. od obrotu do 33 proc. Jednocześnie Centre National du Cinema wystosowało do czterech tysięcy właścicieli kin w całym kraju pytanie, do jakiej kategorii chcą być zaliczeni — artystycznej czy porno.

Jak doniosła ostatnio prasa francuska, 140 właścicieli kin, w tym 40 z Paryża, odpowiedziało, że decyduje się na wyświetlanie filmów porno, a więc i

placenie dwukrotnie wyższych podatków. Władze przyjęły to do milczącej wiadomości, ale jednocześnie wyjaśniły, że jeżeli kino, zaliczone do kategorii artystycznej, wyświetli chociażby jeden film uznany za porno, będzie musiało zapłacić podwójny podatek za cały rok, co w praktyce oznacza bankructwo. Nie wynika natomiast nic z tego, jeżeli kino porno wyświetli film artystyczny.

Do kontrolowania wykonania tych przepisów wyznaczono 40 osób. Zjadliwi dziennikarze piszą, że jeżeli kino porno wyświetli film artystyczny, to kontrolerzy powinni przynajmniej zwrócić uwagę właścicielom, że nie przestrzegają oni zasad kwalifikacji.

## MISTRZOWIE

**P**REZYDENT Ugandy marszałek Amin Dada niejednokrotnie już zadziwiał świat swoim postępowaniem lub pomysłami. Oto nowy fakt z tej dziedziny. Marszałek przypomniał sobie, że przez szereg lat był mistrzem Afryki w boksie zawodowym w wadze ciężkiej i że wtedy czuł się fizycznie doskonale. Po niedawnym ożenku z młodą dziewczyną doszedł do wniosku, że znów powinien dbać o swoją kondycję fizyczną i postanowił wrócić do boksu — naturalnie na użytek prywatny, dla zdrowia.

W wyniku dłuższych poszukiwań wybrał sobie na sparring-partnera byłego mistrza Europy Karla Mildembergera i zaprosił go do Ugandy. Wyjazdowi nie-spodziewanie sprzeciwiła się zachodni-niemiecka federacja boksu zawodowego, której podlega Mildemberger. Zadecydowała ona, że bokser z RFN najpierw będzie musiał przejść wszelkie badania lekarskie, a następnie egzamin na ringu, gdyż jego licencja bokserka wygasła już przed pięcioma laty. W gruncie rzeczy chodzi o to, aby bokser zachodni-niemiecki nie skompromitował się podczas treningów z marszałkiem.

## PŁYTY

**M**IMO ogromnej popularności radia, telewizji i magnetofonów, płyty wciąż znajdują miliony nabywców. Co więcej — zapotrzebowanie na nie wciąż rośnie. Najwięcej płyt produkuje się w Stanach Zjednoczonych — 422 mln sztuk rocznie, następnie w Japonii — 165 mln, w Związku Radzieckim — 154, w Wielkiej Brytanii — 132 mln, w RFN — 130 mln, we Francji — 108 mln. W tym ostatnim kraju w roku 1938 wyprodukowano zaledwie 2,45 mln płyt, a w 1958 roku 30,5 mln.

Jeżeli jednak liczbę wyprodukowanych płyt przeliczyć na głowę mieszkańca, na pierwsze miejsce wysunie się Wielka Brytania, na drugie RFN, a na trzecie Francja. Ponad połowa płyt posiada szybkość 45 obrotów na minutę.

## ZOO DLA LUDZI

**W**JEDNYM z poważnych periodyków naukowych w Stanach Zjednoczonych ukazał się artykuł podpisany nazwiskiem Carl Ball, lansujący niezwykłą teorię. Autor twierdzi mianowicie, jak wielu innych uczonych, że na różnych planetach we wszechświecie istnieją cywilizacje, wyższe od naszej. Ale dodaje, że istoty z tych planet wleżą do naszego istnienia i bez trudu mogłyby dotrzeć na Ziemię, ale zdają sobie sprawę z niesamowitych konsekwencji tego nierozważnego kroku. Gatunek ludzki bowiem na Ziemi albo musiałby zniknąć, albo uległby skarlaniu i deformacji. Istoty z tych planet postanowiły więc stworzyć z naszej Ziemi coś w rodzaju parku naturalnego czy zoo, w którym ma się zachować ziemski człowiek. Autor podaje, że tzw. latające spodki rzeczywiście są wyprawami kosmicznymi z innych galaktyk, ale nie są to wizyty zamierzone, lecz wynikają albo z błędów nawigacji, albo z chwilowej awarii urządzeń, napędzających te pojazdy kosmiczne.

## DOCHÓD NARODOWY

**D**OCHÓD narodowy jest jedynym źródłem, z którego społeczeństwo czerpie środki utrzymania oraz środki niezbędne do rozwoju gospodarki, budownictwa mieszkaniowego, oświaty, kultury, obrony kraju, urządzeń socjalnych itd. Od niego zależy po prostu bogactwo państwa i poziom życia społeczeństwa. Są jeszcze w tej dziedzinie duże różnice pomiędzy poszczególnymi państwami, nawet w Europie, będącej wynikiem zarówno uwarunkowań historycznych, jak i zniszczeń w czasie ostatniej wojny.

Procentowy wzrost dochodu narodowego w krajach socjalistycznych od wielu lat jest znacznie szybszy niż w tzw. wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych, co oznacza, że w niezbyt dalekiej perspektywie dojdzie najpierw do wyrównania poziomu, a następnie wyprzedzenia krajów kapitalistycznych przez państwa socjalistyczne.

Jeżeli wzrósł dochód w roku 1950 przyjmujemy za 100, to porównanie lat późniejszych wypadnie następująco:

|                | 1960 | 1970 | 1974 |
|----------------|------|------|------|
| W. Brytania    | 132  | 172  | 185  |
| USA            | 134  | 202  | 234  |
| Belgia         | 124  | 204  | 244  |
| Francja        | 160  | 282  | 341  |
| RFN            | 223  | 356  | 399  |
| Włochy         | 192  | 345  | 401  |
| Czechosłowacja | 207  | 318  | 389  |
| NRD            | 261  | 400  | 496  |
| Polska         | 208  | 374  | 545  |
| ZSRR           | 265  | 528  | 665  |
| Bulgaria       | 282  | 593  | 792  |

Tak więc przewaga krajów socjalistycznych jest bardzo wyraźna. Łączne dane za rok 1973 wykazują, że przeciętny wzrost w krajach RWPG wyniósł (w porównaniu do roku 1950) — 579 proc., natomiast w krajach kapitalistycznych 282 proc.

## PRZERYWANIE CIAŻY

**W**E Włoszech jeszcze od czasów faszystowskich obowiązuje bezwzględny zakaz przerywania ciąży. Ustawa ta była wielokrotnie atakowana przez kółka postępowe i wreszcie w roku ub. opracowano projekt nowej ustawy, która miała znacznie zliberalizować dawne przepisy.

Projekt tej nowej ustawy od przeszło miesiąca był przedmiotem obrad w parlamencie włoskim. W rozmowach kulturalnych przedstawiciele kilku głównych partii politycznych zawarli nieformalne porozumienie, które miało doprowadzić do kompromisowego załatwienia sprawy. Najbardziej kontrowersyjny był art. 2 ustawy, dopuszczający możliwość przerywania ciąży w różnych okolicznościach w okresie 70 dni.

Niespodziewanie w dniu 1 kwietnia przedstawiciel chadecji Flaminio Piccoli zgłosił poprawkę do tego artykułu, która przewiduje — wbrew poprzedniemu porozumieniu — że ciążę można przerwać tylko w wypadku, gdy grozi ona życiu kobiety, oraz jeżeli ciąża jest rezultatem gwałtu. Moment został troskliwie dobrany — na sali brało 23 deputowanych, o których było wiadomo, że nie zgodzą się na poprawkę. W istniejącej jednak sytuacji poprawka została uchwalona większością 12 głosów, co właściwie ocenia się jako wygraną mniejszości.

W tej sytuacji doszło do ostrych kontrowersji pomiędzy przedstawicielami wielu stronnictw. Chadekom, socjalistom i neofaszystom, którzy przeforsowali poprawkę, zarzuca się po prostu oszustwo. Nie jest wykluczone, że w konsekwencji mniejszościowy rząd Aldo Moro będzie musiał podać się do dymisji, bądź też nie otrzyma wotum zaufania przy głosowaniu nad jakimś innym projektem.

## GARMONDEM

Po wieloletnich trudach działaczy ochrony zabytków, mieszkańców i miłośników Starego Miasta w Zamościu, nareszcie w ubiegłym roku (Międzynarodowym Roku Ochrony Zabytków) większość ulic „perły Odrodzenia” została zamknięta dla „wjazdu wszelkich pojazdów”, o czym informują ustawione znaki drogowe. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie tabliczki (pod znakami) z napisami: Nie dotyczy pojazdów zaopatrzenia itd. Nadmierne ilości pojazdów instytucji uprzywilejowanych, poruszających się często bez doraźnej potrzeby po Starym Mieście, całodzienne zaopatrzenie sklepów systemem „na raty” samochodami ciężarowymi o niezbyt małym ciężarze, nazbyt częste naruszanie zakazu wjazdu przez pojazdy nieuprzywilejowane, stosunkowo duża prędkość przejeżdżających pojazdów, zupełny brak kontroli ruchu na pozornie zamkniętych ulicach Starego Miasta... wszystko to z rzekomego zakazu przeradza się w fikcję. Wnioski z powyższych obserwacji nasuwają się same, a kto nie wierzy, niech spróbuje po ulicach zamojskiej starówki pospacerować.

SIE

\* \* \*

Niejednokrotnie żartowałem z siebie mówiąc, iż lecę się w trzech przychodniach i jeszcze żyję. Posiadamy np. książeczki ubezpieczeniowe, które z reguły są traktowane jako identyfikatory uprawnień chorego do porady lekarskiej. Obok zaś książeczki ubezpieczeniowej rozmnożyły się w służbie zdrowia różne papieryska, setki rejestratorów, tysiące zbędnych czynności pozaleczniczych. Mamy więc do czynienia z wielokrotnymi badaniami rentgenologicznymi, analitycznymi, pomocniczymi itp. — oddzielnie dla każdej przychodni. I stąd m. in. tysiące zabieganych pacjentów, którzy gonią tam i z powrotem — często lichy wie po co. A sprawa w rezultacie powinna się sprowadzić do jednolitego, w miarę uproszczonego zapisu każdej czynności lekarskiej i zaleceń dla pacjenta, każdej analizy laboratoryjnej czy badania rentgenowskiego — właśnie nie gdzie indziej, ale w książeczce ubezpieczeniowej, łącznie ze zwolnieniami chorobowymi. Uwolnione w ten sposób od biurokratycznego garbu rejestratorki będą mogły być skierowane tam, gdzie brakuje pracowników: do efektywnej obsługi pacjenta, a jednocześnie odciążą się od nadmiaru dublowanych badań specjalistycznych pracownie analityczne, zakłady radiologiczne itp. Samych zaś pacjentów nareszcie przestanie ogarniać przerażenie na myśl o leczeniu.

R. Dunin

# STARE PIEŚNI WIELKANOCNE

Roman Rosiak

„Święto Wielkanocy jest tym przedziwnym świętem, które pachnie wiosną i rozbrzmiewa niezmierną radością, że najjaśniejsze życie wychodzi z ciemnicy i rozgłośnie śpiewa swój hymn zwycięski”.

Kornel Makuszyński

**N**A początku — oczywiście — było słowo, ale pojawiło się ono wraz z melodią, bo przecież trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek polskie (a właściwie słowiańskie) święto bez pieśni. Z tym jednak zastrzeżeniem, że pieśni wielkanocne należą do najstarszych i najcenniejszych zabytków naszej kultury narodowej. Co więcej, lud, przyswajając sobie niektóre pieśni kościelne, szybko stworzył podstawy dla własnej, oryginalnej, świeckiej twórczości, która rozwija się do dziś.

Najstarsze znane pieśni wielkanocne pochodzą z XIII i XIV wieku, zaś pierwsze miejsce należy przyznać odpisowi łacińskiego „Christe surrexisti Exemplum dedisti” z 1365 roku, a więc sprzed ponad 600 lat. Utwór ten, wprawdzie bardzo krótki, ale za to bardzo popularny, śpiewany jest przecież jeszcze i teraz:

Chrystus zmartwychwstał je,  
Ludu przykład dał je,  
Ei nam zmartwych wstał,  
Z Bogiem królówaci, Kyrie elejson.

Zdaniem naszego językoznawcy, prof. Jana Łosia, „... była to pierwsza w tym znaczeniu pieśń ludowa, tj. przez lud przyswojona”. Nic też dziwnego, że nawet tak ortodoksyjny kościół średniowieczny uległ woli wiernych, nakazując, by „czasu procesji wielkanocnych” lud śpiewał i tę uświęconą zwyczajem pieśń.

Podobnie stare i również „akceptowane” najpierw przez lud, następnie przez kościół, są dwie inne pieśni z XIV wieku: „Przez twe święte zmartwychwstanie” i „Wesoły nam dzień nastał”. Wypada też wymienić pieśń o trzech Mariach, które udały się do grobu z wonnymi maściami, pt. „Ewangelia wielkanocna niedziela”, którą w jednym z najstarszych druków polskich, tj. w „Żywocie

Pana Jezusa Krysta” w 1522 roku umieścił Baltazar Opeć.

Jak popularny był motyw zmartwychwstania w średniowieczu świadczy też fakt, że w fundamentalnym zabytku z XIII wieku, „Bogurodzicy”, wśród 14 zwrotek dodawanych do niej w późniejszym czasie, znalazły się dwie pieśni: wielkanocna i pasyjna. Jest rzeczą godną podkreślenia, że w miarę upływu czasu pieśni wielkanocne, dzięki coraz bogatszej fantastyce ludowej, kolorystyce lokalnemu i głębokiemu realizmowi stawały się bliższe masom chłopskim i były śpiewane także poza kościołem, jako własne, ludowe.

O jednej z najbardziej znanych, choć długiej, bo liczącej aż 62 zwrotki „Pieśni o zmartwychwstaniu Pana Jezusowym bardzo nabożnej i wesołej”, tak w I połowie XVI wieku napisał arianin Marcin Czechowicz: *wielkanocna owa piosnka, którą chłopstwo, obżarłszy się w karczmie, także żacy i baby całymi gębami śpiewają, iż ten Chrystus wstał z martwych, nie ruszył kamienia ni pieczęci żadnego znamięnia*.

Ze średniowiecznych tradycji narodziła się też głoszna „Historia o chwalebny zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka (właściwie do dziś trudno definitywnie ustalić, czy był on autorem, czy tylko wydawcą tekstu starożytnego misterium), o czym tak pisze prof. Julian Krzyżanowski: *jedyny u nas w w. XVI okaz misterium, zachowany w tekście, który opatrzone wskazówkami reżyserskimi, jest klasycznym okazem widowiska wielkanocnego, z jego typowymi składnikami, jak kupowanie maści przez trzy Marie, jak rubaszne rozmowy strażników u grobu Chrystusa, jak wstąpienie Chrystusa do piekieł i popłoch zaskoczonych tym diabłów. Religijna wzniósłość miesza się tu z groteską, tworząc całość równie prymitywną, jak malowidła czy rzeźby średniowieczne, ale pełną swoistego wdzięku*.

Od pieśni przejdźmy do jeszcze bogatszej literatury pamiętnikarskiej, która stanowi prawdziwą skarbnicę wiedzy o tym, jak świętowano, co jedzono, w jaki sposób zabawiano się przed wiekami czy dziesiątkami lat. Można tu mówić o setkach utworów, zaś nazwiska ich autorów nie wymagają komentarza: Jan Chryzostom Pasek, Jędrzej

Kitowicz, Jan Kiliński czy Józef Ignacy Kraszewski. Siegnijmy jednak do mniej znanych.

Bonaventura z Kochanowa przekazuje nam opis baranka wielkanocnego, którego od Włocha Alfieriego otrzymała w prezencie królowa Maria Kazimiera, żona J. na III: *Baranek ten miśternie był zrobiony z puchu labędziego, naśladującego wełnę. Za poruszeniem sprężyny podnosił się jakby żywy. Miał na boku przypiętą chorągiewkę, wielkości ośmiu cali, na której było niezmiernie drobnymi literami słowo „Alleluja” napisane 18250 razy, to jest tyle, ile królowa do onego czasu dni przeżyła*.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa opisuje natomiast obyczaj podejmowania w Wielki Czwartek przez króla Augusta III 12 ubogich starców, którym monarcha usługiwał przy stole i na znak pokory mył nogi. Maria Mickiewiczówna (Górecka) także dzieli się wspomnieniami, z tym jednak, że głównym ich bohaterem jest jej ojciec, autor „Pana Tadeusza”, który obchodził Wielkanoc w Paryżu: *Zwyczaj święconego ściśle był u nas przestrzegany — w Wielki Piątek wieczorem ojciec zgromadził nas u siebie, a przeczytawszy Ewangelię, śpiewał z nami „Gorzkie zale”. Przy święconym ojciec dzielił się z nami i gościami jajkiem, zamieniając przy tym życzenia, których treść, zawsze ta sama, głęboko utkwiła w pamięci (móc jeszcze kiedyś wrócić do kraju)*.

Wielkanoc znalazła — rzecz jasna — poczesne miejsce również w poezji, powieści, nawet dramacie, zaś wśród sięgających po ten motyw pisarzy znajdujemy prawdziwą plejadę gwiazd: od Jana Kochanowskiego i Mikołaja Reja, poprzez Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego, do Stanisława Wyspiańskiego i Władysława Reymonta, od nich — do czasów nam współczesnych, w których szczególnie twórcy ludowi chętnie zaklinają w literacki kształt święcone, pisanki, palmy, bazy, dyny, wszelkie przejawy wiosny i bogatą obyczajowość świąteczną.

Przeło się radujmy! — jak zachęca nas do tego cytowany już Kornel Makuszyński. — *Wesoły nam dziś dzień nastał. W tej chwili mi się wydaje, że z uszłego patyka mojego pióra wystrzela zielona, radosna gałązka*.

Wesołych Świąt!

## OD POPIELCA DO DYNGUSA

Janina Babinicz-Witucka

**S**WIĘTA Wielkanocne rozpoczyna środa popielcowa nazywana często śródościem. W kościele jest to początek czasu smutku i żaloby. „Pamiętaj człowiecze żeś jest proch i w proch się obrócisz...” mówi tego dnia ksiądz posypując głowy wiernych popiołem. Jednakże życie toczy się jeszcze wartkim nurtem. Jakby z rozpędu po szalonym karnawale, a może po to, żeby jeszcze w ten dzień użyć życia przed nadchodzącym postem. W radzyńskich wsiach tego dnia schodzili się do karczmy baby, żeby jeść śledzie, pić wódkę i żeby, jak to oględnie mówią informatorzy, bawić się. Tak więc środa popielcowa zaczynała siedmiodniowy okres wielkiego postu i mimo że w odległych czasach zdarzały się wypadki wybijania zębów za jądanie mięsa w tym okresie, dziś raczej tylko starsi ludzie starają się przestrzegać dawnych obyczajów.

W śródościu szczególnego zainteresowania dostępowały panny, którym nie udało się znaleźć męża w ostatnim karnawale. Tyle że zainteresowanie to dawniej nie ograniczało się do malowania okien wapnem w kółka i ciapki. Środki dopingujące były tak różnorodne, że do dzisiaj ludzie wspominają Bartków i Wojtków, którzy przez noc strażowali nad honorem rodziny. Oprócz malowania okien można było rąbnąć o drzwi gliniakiem napelnionym zurem lub popiołem, przyczepić pannie do spódniczki wydmuszkę z jajka, względnie przypiąć zwykłą matrymonialną deklarację wypisaną na karteczce: „Szukam męża”.

Najciekawszy jest jednak dla etnografa tydzień poprzedzający święto wielkanocne, nazywany Wielkim Tygodniem. Tydzień ten to jakby skondensowanie nakazów i zakazów magicznych i religijnych. Rozpoczyna go niedziela palmowa, wprowadzając w centrum zainteresowania symbol znany na obu półkuliach — palmę wielkanocną. Szykowały ją kobiety z gałązek wierzby i rozwiniętej w ciepłe charty brzozy, oczeretów i łoży. Przyszajęły ją barwinkiem, suszonymi i sztucznymi kwiatami, zdobily wstążkami. Były też we wsiach, podobnie jak dzisiaj, specjalistki od palm. Taka palma, ułożona ze smakiem artystycznym, wzbogacona specjalnie na ten cel farbowanymi trawami, radowała oczy, a kosztowała „cztery jajka”.

Poświęconą w kościele palmą biło się domownikom wymawiając pobożne życzenia: „palmę bije, nie zabije, niech Marysia sto lat żyje”, „oczeret, łożyna, za tydzień słonina”, „palmę bije, nie zabije, siedem nocy do Wielkanocy”. Rzeczywiście, do jedzenia i swobody gwarantującej uciechę było siedem dni i nocy. Obok czynności gospodarskich wypełniano je więc, godzi, a po godzinie, zajęciami,

które miały na celu godne przywitanie świąt. Robiono porządki, bielono z zewnątrz i wewnątrz chaty, strojono izby kwiatami i kolorową bibulką, zwracając w tych zabiegach szczególną uwagę na święte obrazy. W Wielkim Tygodniu specjalnego znaczenia nabierały trzy dni: czwartek, piątek i sobota. W wielki czwartek zabraniano rąbania drewna, prania kijanką, młócenia, przędzenia... Idealem było siedzenie na piecu lub w kościele i myślenie o swoich sprawach pod pozorem gorliwej modlitwy.

W wielki piątek, według wierzeń nieobcych także i dzisiaj, siły nadprzyrodzone działały ze zdwojoną siłą. W tym dniu, podobnie jak w poniedziałek wielkanocny, zaznacza się stare pogańskie wierzenie w oczyszczające właściwości wody. Woda życia, element przewijający się w religii, literaturze, sztuce, otrzymuje w polskiej kulturze ludowej swoje własne zabarwienie. Ludzie chorzy, przeważnie owróżdzeni, przed wschodem słońca biegli obmyć rany do rzeki, wierząc w cudowne uleczenie. Dla zachowania młodości i urody obmywały się w rzece młode dziewczyny. Przejorni i ci, którzy zdobyli fortuny mieli na uwadze, wrzucali przed myciem do miednicy z wodą pieniądze, a najlepszy efekt obiecywało użycie pieniędzy srebrnych lub złotych. Nie udzieleno w tym dniu pożyczek wierząc, że pożyczający zabiera szczęście z domu.

W wielki piątek we wszystkich kościołach przestają bić dzwony. W wierzeniach ludowych dzwony mają przede wszystkim moc odpędzania demonów i piorunów. Przed ich donośnym dźwiękiem mają jakoby uciekać złe duchy. Brak tych ochronnych właściwości daje się zauważyć w czasie wielkiego tygodnia, kiedy to dwa dni dzwony milczą — aż do świtu niedzieli wielkanocnej. W tym czasie do odstraszania złych mocy używa się drewnianych kołatek.

Obok przedmiotów, które same z siebie są nośnikami nadnaturalnej siły, istnieją rzeczy, które zyskują tę siłę na podstawie aktu poświęcenia. Na pierwszym planie w wierzeniach ludowych występuje woda poświęcona w wielką sobotę. Woda ta przechowywana jest w specjalnych naczyniach, służy do pokrapiania ludzi, ich mieszków i rzeczy, a nawet zwierząt domowych, dla uchronienia ich i siebie od wpływu złych duchów i od nieszczęść losowych.

W wielu miejscowościach na Lubelszczyźnie ludność przypisuje podobną rolę święconej tarninie, toteż zatyka się ją w polu, aby chroniła zbiory przed gradobiciem, albo za obraz święty, by domostwo pioruny i pożary omijały. Również poświęcone w wielką sobotę pokarmy chronią przed różnymi niebezpieczeństwami.

Po ceremonii wielkanocnej, modlitwach, życzeniach, gospodarz wstawał od suto zastawionego stołu i zabierając święcone obdźlewał nim bydło, by dobrze się chowało, psu dawał kielbasę, aby nie chorował na wściekliznę, kurom skorupki z jajek, by nie nosły jaj poza obrębem gospodarstwa, kartofel zaś zakopywał na wygonie, by dobrze w tym roku obrodzili jego krewniacy. W Janowskim gospodarze toczyli wzdłuż zagonów poświęcone jaja — co nazywało się wybijaniem kakała.

W wielką niedzielę obowiązywały również zakazy. Dla przykładu wierzenia zabraniały w ten dzień drzeć domownikom, bo drzemka miała jakoby spowodować porośnięcie pola gęstym chwastem. Po zachodzie słońca nie brało się do ust święconego, obawiając się zapadnięcia na kurzą ślepotę.

Oblewanie wodą w wielki poniedziałek miało dawniej znaczenie oczyszczające. Stary to słowiański i pogański zwyczaj, który na trwałe wszedł do kultury ludowej i choć obecnie zmienił nieco charakter, tkwi w naszej tradycji głęboko. Już w niedzielę wielkanocną chłopcy chodzili po dyngusie i śmigusie. Od rana słyszano się gdzieś gdzie we wsi, jednym tchem recytowane wierszyki:

dajcie skrajeczkę syra  
żeby wam krówecka z pola przychodziła  
dajcie nam dajcie tych jajów szesnaście  
żeby wam się kury nosły nawet po oście.

Albo wcale interesujące propozycje:

dajcie jako jedno  
będzie wam się wiedło  
dajcie pięć  
będę wasz zięć.

W poniedziałek wielkanocny odbywało się istne polowanie. Dziewczeta chowały się na strychu i wyczekiwały na chłopaków z wiadrami pełnymi wody. Chłopcy ciągnęli dziewczyny pod studnię lub wrzucali do stawu. Gospodyni polewała gospodarza wodą, żeby owies rozdził, gospodarz gospodynię, żeby len obrodził. Zabawy takie trwały dawniej tydzień, aż do przewodniej niedzieli.

W niedzielę przewodnią dziewczyny, dziękując za oblane wodą, obdarowywały chłopaków pięknymi pisankami, podobnie pisanki otrzymywali chrześniacy od rodziców chrzestnych.

Nadchodziła wiosna — wiara w siły przyrody, spotęgowana magią, pozwalała oczekiwać ich ucieleśnienia w urodzaju.

W naszej dyskusji na temat projektu nowej ustawy psychiatrycznej zabiera dziś głos prof. dr Tadeusz Taras, dyrektor Instytutu Prawa Karnego i kierownik Zakładu Postępowania Karnego i Kryminalistyki UMCS.

JUZ na wstępie można śmiało stwierdzić, że przyszła ustawa psychiatryczna, akceptująca projekt, opracowany przez komisję ekspertów złożoną z lekarzy-psychiatrów, psychologów, prawników i socjologów, będzie ustawą dobrą. Projekt uwzględnia nowe tendencje w leczeniu psychiatrycznym i ma charakter kompleksowy, obejmując całokształt problematyki ochrony zdrowia psychicznego i — co najważniejsze — respektuje prawa jednostki zagwarantowane w naszym całym systemie prawnym, w szczególności prawo do wolności i nietykalności cielesnej, a równocześnie chroni interesy i zadania właściwego leczenia psychiatrycznego.

Z uwagi na ograniczenia objętościowe wypowiedzi zajmę się konkretnie tylko trzema zagadnieniami prawnymi o zasadniczym znaczeniu: stosowaniem przymusu bezpośredniego, tajemnicą lekarską oraz tzw. kontrolą sądu.

Podstawową zasadą projektu jest zasada dobrowolności. Badania diagnostyczne, leczenie, rehabilitacja i działalność w zakresie opieki mogą być podejmowane tylko za zgodą osoby dotkniętej zaburzeniami psychicznymi, albo za zgodą jej przedstawiciela ustawowego. Zasada dobrowolności oznacza respektowanie praw jednostki, a to prawa do wolności i nietykalności cielesnej, i jest zarazem warunkiem skuteczności leczenia, które pozostaje w ścisłym związku z atmosferą pełnego zaufania chorego do lekarza.

Konsekwentną zasadą dobrowolności jest nałożenie na lekarza obowiązku informowania pacjenta (przedstawiciela ustawowego) o celach, czynnościach i wynikach postępowania diagnostycznego, o stosowanych metodach i środkach

lecniczych oraz przewidywanych następstwach ich stosowania bądź zaniechania. Pacjent bowiem powinien zrozumieć sens i cel dokonywanych wobec niego czynności leczniczych, co ułatwi mu może podejmowanie decyzji o zgodzie lub sprzeciwie na ich stosowanie.

Projekt idzie jeszcze dalej. Wymaga on odrębnej pisemnej zgody osoby przebywającej w zakładzie psychiatrycznej opieki szpitalnej (przedstawiciela ustawowego) na dokonanie zabiegu operacyjnego, a nawet na dokonanie nieoperacyjnego zabiegu leczniczego lub diagnostycznego, albo na zastosowanie leku, jeżeli jest to połączone z ryzykiem większym od przeciętnego.

Sprawa się komplikuje, gdy chory z powodu zaburzeń psychicznych nie jest zdolny, w ogóle albo w danej chwili, do prawidłowego oświadczenia woli i nie ma przedstawiciela ustawowego. Według art. 82 kodeksu cywilnego powzięcie i oświadczenie woli w stanie choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego albo innego zaburzenia psychicznego jest nieważne. W takiej sytuacji wymagane jest, według projektu, zezwolenie sądu opiekuńczego. Jeżeli jednak zachodzi przypadek nagłej konieczności, która ma miejsce wówczas, gdy zachodzi bezpośrednie niebezpieczeństwo śmierci, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia, a niebezpieczeństwa tego nie można uniknąć inaczej niż przez niezwłoczne dokonanie zabiegu lub zastosowanie leku — lekarz uprawniony jest do dokonania tych czynności bez zgody chorego (przedstawiciela ustawowego). Nawet bez zezwolenia sądu opiekuńczego, ale zobowiązany jest zawiadomić o tym ów sąd.

Regulacja prawna jest zatem całkowicie właściwa i uzasadniona, respektująca zarówno interesy chorego, jak i interesy właściwego leczenia.

Przechodzimy z kolei do zagadnienia stosowania przymusu bezpośredniego w badaniach diagnostycznych i leczeniu. Jest to oczywiście

## PRAWNA OCHRONA ZDROWIA PSYCHICZNEGO

Tadeusz Taras

wyjątek od zasady dobrowolności i winien on być ograniczony do przypadków nieodzownej konieczności. Projekt czyni też zadość tym postulatom. Badania i leczenie psychiatryczne bez zgody osoby badanej (przedstawiciela ustawowego) może być przeprowadzone tylko wtedy, gdy z dokonanych ustaleń wynika, że z powodu zaburzeń psychicznych zagraża ona bezpośrednio własnemu życiu albo życiu lub zdrowiu innych osób. Przesłankami zatem przymusowego badania i leczenia, które w praktyce oznacza przymusowe umieszczenie danej osoby w zakładzie leczniczym — jest stwierdzenie poważnych zaburzeń psychicznych.

Wydaje się, że przyczyny warunkujące stosowanie przymusu są w projekcie ujęte zbyt wąsko. Należałoby przepisać ten uzupełnić dalszym sformułowaniem, że osoba taka zagraża także w znacznych rozmiarach mieniu przez wyrządzenie znacznych szkód majątkowych, np. przy piromanii.

Ta regulacja prawna posiada znaczenie i dla dziedzin procesu karnego. Kodeks postępowania karnego przewiduje możliwość przymusowego umieszczenia oskarżonego w

zakładzie leczniczym w celu wydania opinii o stanie jego zdrowia psychicznego, a badanie psychiatryczne ma być połączone z obserwacją w zakładzie. Orzeka o tym na żądanie biegłych sąd lub prokurator. Na takie postanowienie sądu przysługuje zażalenie do sądu wyższego rzędu, a na postanowienie prokuratora zażalenie do sądu właściwego do rozpoznania sprawy (art. 184 k.p.k.). Przypadki stosowania przymusu są jednak nieliczne, ponieważ badania psychiatryczne, nawet w zamkniętym zakładzie leczniczym, mogą być dla oskarżonego w procesie karnym korzystne z uwagi na możliwość wykluczenia jego odpowiedzialności karnej. Oskarżony jest również obowiązany poddać się między innymi i badaniom psychiatrycznym dla celów dowodowych (art. 65 k.p.k.). Kwestia stosowania przymusu przy tych badaniach nie jest w k.n.k. uregulowana. Należałoby więc w tym przedmiocie stosować analogiczne przepisy przyszłej ustawy o ochronie zdrowia psychicznego.

Ważnym zagadnieniem z punktu widzenia prawnego jest ochrona tajemnicy lekarskiej.

# Ostry dyżur

Dokończenie ze str. 1

wpisuje do tabeli. Doktor Koziejowski zaprasza mnie do gabinetu zabiegowego.

— Wejźcie pani? Proszę.

— Wolę nie.

Adiunkt Małgorzata Witort już prawie w cywilu, bo bez rękawic.

— Od ósmej mamy młyn. Pięć ciężarnych z akcją, jedna do cesarskiego cięcia. A przed chwilą skończyły się kleszcze. Ale to normalny dyżur. Pamiętam jeden szczególnie ciężki. W ciągu jednej nocy, w uszczuplonym składzie, bo bez anestesjologa, odebraliśmy 20 porodów. W tym trzy posiadki, bliźnięta, obrót i ciąża pozamaciczna. Rano byliśmy wszyscy na ostatnich nogach.

Klinika położnicza przy Państwowym Szpitalu Klinicznym nr 1, kierowana przez doc. Marię Grudzień, ma spełniać trzy podstawowe zadania: leczyć (jeśli tak można nazwać odbieranie porodów, przypominające raczej usługę), kształcić studentów i prowadzić badania naukowe. Życie samo dyktuje, która z tych ról jest najważniejsza. Porodu nikt nie zatrzyma, a badania metabolizmu łożyska przy pomocy perfuzji zawsze można przesunąć o kilka dni, a nawet tygodni. Więc przy zmuszonym skompletowaniu, trochę prowizorycznej aparaturze, ustawionej w podręcznym laboratorium, zasiadają młodzi doktoranci dopiero wtedy, gdy właściwie nadchodzi czas powrotu z pracy do domu.

Położnictwo to dziedzina medycyny, w którą szczególnie wolno i opornie wkracza u nas postęp techniczny. Są co prawda zamówione monitory śledzące przebieg porodu i stan płodu, ale że mają pojawić się przy każdym łóżku położniczym do

1990 roku, więc na widok rodzącej kobiety obłożonej kablami jeszcze musimy poczekać. Tymczasem położne i ginekologicy posługują się prostą słuchawką, która już przed trzystu laty z powodzeniem służyła cyrulikom i akuszerkom.

Z sali porodowej wyjeżdża na korytarz bezkształt przykryty kocem. Salowa i pielęgniarka umiejętnie manewrują wózkami między baterią butli z tlenem, łóżkiem połowym i innym wózkiem stojącym w kącie (oczywiście także zajęтым).

— Imię dla syna już pani ma, czy dopiero będzie się rodzina kłóciła?

— Jeszcze nie — na szarej twarzy wykwiła grymas kiego imitujący uśmiech.

— A dziś Marka, pani adiunkt — wtrąca siostra w białym czepku z czerwoną aksamitką.

— Ładne imię. Jest tam gdzieś wolne łóżko, siostrze?

— Właśnie wstawiają.

— Krew przyszła?

— Jeszcze nie, zadzwonię co się dzieje.

Po każdym ostrym dyżurze klinika wygląda jak szpital połowy po ciężkiej bitwie. Między łózkami połowymi trudno się przecisnąć. Bywa — zostaje tylko przejście środkiem i wąski przesmyk wiodący do toalet. Ale mimo takiego zatłoczenia klinika „na Staszica” cieszy się opinią jednej z najlepszych.

Za drzwiami z „judaszem” rozpościera się białobłękitny świat z lustrzaną taflą płytek PCW. To głównie zasługa salowych, które wietrzą, szorują, pucują oddziały matek i noworodków, salę porodową i sanitariaty — na okrągło cały dzień. Docent Grudzień jest zdania, że w takich warunkach nigdy nie należy kończyć sprzątnięcia. A rękę ma twardą, wymagania duże i egzekwuje porządek tym surowiej, im większy natłok pacjentów. Wszyscy to podkreślają z dumą, że choć warunki trudne, nie zdarzały się infekcje oddziałowe.

Froterki przystosowane do czyszczenia dużych powierzchni widzimy głównie w prospektach zagranicznych. U nas sprzątaczkę posługują się tym sprzętem nie za często, bo odkurzacze i froterki notorycznie się psują, całymi mieszacami leżą w Eldomie i w praktyce ścierka i wiadro to nadal atrybuty salowej. Brak salowych jest prawdziwym problemem, stale uwierającym dyrekcję szpitala. Po prostu nie ma chętnych do pracy na tym stanowisku. Bo to i w hierarchii zawodowej salowa stoi bodaj najniżej, i praca ciężka, niewdzięczna, nienajlepiej płatna.

Siostra Anna Szewera dyżurowała całe przedpołudnie w izbie przyjęć. Było tak dużo pacjentek, że z trudem wykroiła kilka minut na papierosa, a herbatę wypijała tylko dlatego, że zajęła się tym litościwie salowa z septycznej. Przez siedem godzin przyjęła 23 położnice. A najbardziej zapamiętała jedną z nich, bo dziwnie się zachowywała. Przy-

wiozła ją pogotowie spod Dębina. Nie chciała się rozebrać, ani przyznać gdzie mieszka. Okazało się, że jest brudna i zawszona. A wszystkim wiedząca siostra oddziałowa zrobiła szybko wywiad. To już czwarte nieślubne dziecko. Oczywiście kobieta chce się go zrzec.

Zjeżdżają się do kliniki kobiety z całego województwa lubelskiego, ba, nawet z województw sąsiednich. O motywach najazdu na klinikę, żeby tu odbyć poród, można by napisać całą rozprawę. W każdym razie nie bez znaczenia jest dla kobiet miejsce urodzenia dziecka. Wpisane w metryce Dys czy Samokleski, to coś takiego jak „dziedzicznie obciążony”. A poza tym rodzenie w domu — jedyna moda retro, do której najbardziej awangardowa dziewczyna wrócić by nie chciała. Zresztą statystyki to potwierdzają: 98 procent kobiet rodzi w szpitalach. Nawet już izba porodowa wydaje się niezupełnie bezołeczna i wygodna współczesnej białogłowie. W klinice zaś i zespół specjalistów i kropiółka, krew w razie potrzeby, stół operacyjny w wypadku poważniejszych komplikacji. Wszystko na miejscu. Więc kobieta przychodzi tu spokojna o swój i dziecka los. Od dwu lat rzeczywiście nie było w klinice wypadku śmiertelnego, a zgony dzieci, nierzadkie przecież, kształtują się zawsze poniżej średniej krajowej. Takie wskaźniki warto są odnotowania, bo przecież zawarty w nich jest wysiłek całego personelu poczynając od sprzątaaczki, a na kierowniku kliniki skończywszy.

W klinice jest 35 łóżek legalnych, wstawionych na taką powierzchnię zgodnie z normami wyznaczonymi przez Ministerstwo Zdrowia, i około 20 łóżek „dzikich”, albo połowych, wyrastających jak grzyby po deszczu w czasie ostrego dyżuru.

A w województwie lubelskim na 10 tys. mieszkańców przypada 7 łóżek ginekologiczno-położniczych. I choć przydałoby się drugie tyle, przez ostatnie trzydziestolecie łóżek tych ubywało. Nawet wbrew tak naturalnym potrzebom, jak wyłdemograficzny, który właśnie w ostatnich latach rozpoczął reprodukcję. Projektuje się na przyszłość (niestety dość odległą, bo sięgającą do 1990 r.) wiele zmian organizacyjnych i strukturalnych, w sumie mających jeden cel: zapewnienie prawidłowego rozrodu. Bo przygotowany ostatnio przez ekspertów raport o stanie opieki zdrowotnej wykazał, że stan ten jest, najogólniej mówiąc, niezadowolający.

Piątką studentów, których poznałem tutaj tylko po notatkach, przecięła się między łózkami w stronę pokoju asystentów. W drzwiach zatrzymuje ich krzyk:

— Nie wchodzić! Nago jestem.

Czekają cierpliwie. Przywykli wszyscy do tych osobliwych strip-teasów. Pokój asystentów spełnia bowiem tak wiele funkcji, że nierzadko się tu nie można dziwić. Jest to sala ćwiczeń, pokój do śnia-

Projekt stwarza cały system gwarancji prawnych, które możliwie najszerszej zabezpiecząby tajemnicę badań diagnostycznych, leczenia, jak i profilaktyki. Gwarancje te są konieczne ze względu na potrzebę stworzenia klimatu niezbędnej zaufania pacjenta i jego najbliższego otoczenia do leczenia psychiatrycznego. Kontakt bowiem psychiatry z pacjentem stwarza szerokie możliwości wnicania w jego sferę najbardziej intymną. Przepisy gwarantujące nienaruszalność tajemnicy są znacznie szersze i bardziej rygorystyczne od tych, jakie określone są w ustawie o zawodzie lekarza, a raczej są one analogiczne do tych, jakie przewidziane są dla stosunków między obywatelem (zwłaszcza oskarżonym) a obrońcą w procesie karnym.

Art. 67 § 1 projektu głosi, że lekarz obowiązany jest do zachowania w tajemnicy wszystkiego, o czym dowiędzie się w związku z wykonywaniem czynności diagnostycznych i leczniczych. Ten obowiązek zachowania tajemnicy został rozciągnięty także na inne osoby zatrudnione w zakładach leczenia psychiatrycznego, na osoby uczestniczące w zajęciach szkoleniowych (np. studenci akademii medycznych) oraz biorące udział w pracach naukowo-badawczych prowadzonych w tych zakładach, a także na osoby wykonujące jakiegokolwiek zadania związane z opieką psychiatryczną. Uzupełnieniem jest przepis art. 71 § 1 projektu, który zabrania przesiłki wiadomości o zachowaniu tajemnicy jako świadków na okoliczność przyznania się osoby badanej lub leczonej do popełnienia czynu zabronionego pod groźbą kary, a także co do faktów, które mogą ją poniżyć w opinii społecznej — chyba że osoba badana lub leczona (przedstawiciel ustawowy) wyraźnie tego żąda.

Zakaz ten stosuje się odpowiednio do lekarza-psychiatry wykonującego czynności biegłego.

Można by się dopatrzeć pewnej niescisłości między sformułowaniem art. 71 § 1 dotyczącym zakazu przesiłki wiadomości o zachowaniu tajemnicy a obowiązkami do

zachowania tajemnicy jako świadków, a regulacją dotyczącą zwolnienia lekarza-psychiatry od obowiązku zachowania tajemnicy.

Projekt wymienia taksatywnie cztery przypadki takiego zwolnienia. W pierwszej kolejności taki, gdy zachowanie tajemnicy mogłoby spowodować istotne niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia pacjenta albo innych osób, co jest zupełnie zrozumiałe i uzasadnione, oraz wypadek — który nas w tej chwili interesuje — gdy ciąży na nim ustawowy obowiązek zawiadomienia sądu lub innego organu państwowego.

Jeśli chodzi o zawiadomianie organów ścigania o popełnieniu przestępstwa ściganego z urzędu, nasz system prawa karnego przewiduje jedynie spoczywający na każdym obywatelu społeczny taki obowiązek zawiadomienia. Niespełnienie takiego obowiązku nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji karnych. Natomiast obowiązek ustawowy takiego zawiadomienia dotyczy tylko niektórych przestępstw szczególnie niebezpiecznych, wymienionych w art. 122—124, 126—128 i 148 kodeksu karnego (zdrada ojczyzny, szpiegostwo, sabotaż i zabójstwo). Każdy, kto mając wiarygodną wiadomość o takim przestępstwie, nie zawiadamia organów ścigania, sam dopuszcza się przestępstwa z art. 254 k.k. zagrożonego karą pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5.

Lekarz-psychiatra zatem, dowiedziawszy się od pacjenta o popełnieniu przez niego jednego z wyżej wymienionych przestępstw, jest zwolniony od zachowania tajemnicy i obowiązany zawiadomić o tym organ powołany do ścigania, w przeciwnym razie popełniłby sam przestępstwo z art. 254 k.k.

Ale według przepisów projektu nie wolno go przesiłkiwać na tę okoliczność jako świadka. Jest to pewnego rodzaju anomalia procesowa, bo z jednej strony zmusza się go do zawiadomienia, a z drugiej strony zabrania się przesiłki wiadomości o przestępstwie, które to przesiłkiwanie jest procesowo wymagane potwierdzeniem zawiadomienia o przestępstwie. Należałoby zatem te

regulacje prawne ze sobą zharmonizować przez dodanie w art. 71 § 1 projektu słów „z wyjątkiem przestępstw wymienionych w art. 122—124, 126—128 i 148 kodeksu karnego”.

Gwarancje zachowania tajemnicy badania i leczenia psychiatrycznego zostały w projekcie jeszcze znacznie dalej posunięte. Objęta została tajemnicą także dokumentacja dotycząca badań, przebiegu choroby i leczenia. Udostępnienie jej może nastąpić tylko szczegółowo wymienionym organom państwowym i instytucjom, głównie sądom. Może być ona udostępniona także dla celów naukowo-badawczych. Na uwagę zasługuje przepis, zabraniający utrwalania w dokumentacji oświadczeń osoby badanej lub leczonej, obejmujących przyznanie się do popełnienia czynu zabronionego pod groźbą kary.

W naszym systemie prawnym obowiązuje zasada, że pozbawienie człowieka wolności poddane jest kontroli sądu, który albo sam podejmuje decyzję, albo rozstrzyga ostatecznie w drodze kontroli instancyjnej.

Umieszczenie przymusowo osoby dotkniętej zaburzeniami psychicznymi w zakładzie leczniczym jest niewątpliwie formą pozbawienia wolności. Dlatego nie bez znaczenia jest zagadnienie, jaki organ ma decydować o stosowaniu przymusowego leczenia. Najwłaściwszym rozwiązaniem jest przyznanie prawa decyzji sądowi, jako organowi w pełni niezawisłemu i obiektywnemu. Projekt ustawy przyjmuje takie właśnie rozwiązanie, postanawiając, że sądem uprawnionym do podejmowania decyzji w sprawach psychiatrycznych jest sąd opiekuńczy. Uzasadnienie tego stanowiska jest proste i logiczne, a kontrola sądu jest niewątpliwie gwarancją ochrony praw obywatelskich.

Przymusowo umieszczenie w zakładzie psychiatrycznym dopuszczalne jest tylko wtedy, gdy z powodu zaburzeń psychicznych powstaje rzeczywiste i bezpośrednie zagrożenie szczególnie cennych dóbr chorego i otoczenia. Decyzję o umieszcze-

niu w zakładzie wydaje lekarz-psychiatra tego zakładu. Decyzja ta ma charakter tymczasowy i chociaż jest natychmiast wykonalna, wymaga zatwierdzenia przez kierownika zakładu w ciągu 48 godzin. O decyzji tej zawiadamia się sąd opiekuńczy, który orzeka merytorycznie o umieszczeniu danej osoby bez jej zgody w zakładzie lub o jej zwolnieniu.

Sąd opiekuńczy orzeka również o potrzebie umieszczenia osoby chorej psychicznie bez jej zgody w zakładzie psychiatrycznym na wniosek małżonka, krewnych w linii prostej i opiekuna faktycznego. Podstawą (należy zwrócić uwagę, że chodzi w tym przypadku o osobę dotkniętą chorobą psychiczną, a nie zwykłym zaburzeniem psychicznym) może być jedynie ustalenie, że zachowanie tej osoby wskazuje w sposób oczywisty na to, że w razie nie podjęcia leczenia w zakładzie psychiatrycznym, zagrażać będzie ona w bliskiej przyszłości życiu własnemu lub życiu bądź zdrowiu innych osób.

Projekt ustawy przewiduje nadto szereg przypadków, w których w razie braku zgody chorego wymagane będzie zezwolenie sądu opiekuńczego.

Kontrola sądu, poza sprawami dotyczącymi ochrony zdrowia psychicznego, sięga jeszcze dalej. Do właściwości sądu opiekuńczego należy nadto dokonywanie wizytacji w zakładach psychiatrycznych opieki szpitalnej oraz w domach pomocy społecznej, w których przebywają osoby z zaburzeniami psychicznymi i przeprowadzanie rozmów z osobami przebywającymi w zakładach psychiatrycznej opieki szpitalnej dłużej niż 6 miesięcy, nadto nadzór nad działalnością osób, którym powierzono wykonywanie opieki środowiskowej.

Cała ta regulacja prawna ma na celu stworzenie szeroko pojętego systemu gwarancji praw obywatelskich w stosunku do osób dotkniętych schorzeniami psychicznymi.

Na zakończenie należy nadto stwierdzić, że projekt ustawy poza innymi walorami, o których pisałem, jest również pod względem techniki kodyfikacyjnej w zasadzie bez zarzutu.

dań, przebiegalnia (bo z tej prawdziwej wychodzi się zawsze z poobijanymi łokciami), miejsce pracy twórczej. Niewielki pokój asystentów jest nie tylko wielofunkcyjny, ale także wieloosobowy. Kółkuje się tu w czasie jednego, przedpołudniowego dyżuru mniej więcej dwadzieścia kilka osób: 5 stażystów, 5 lekarzy, 5 asystentów, 5 studentów i kilku lekarzy z terenu robiących specjalizację. Aktualnie wszyscy czekają na obudowę pokoju, żeby móc w szafach powiesić ubranie i pochwycić pomoce naukowe. Bo podstawową „zdobycz socjalną” oddano im we władanie jeszcze w ubiegłym roku, tuż po remoncie kliniki. Jest to wydzielony dla personelu brodzik, ubikacja i stanowisko do golenia, co szczególnie sobie cenią lekarze kończący dyżur nad ranem.

Szpital przy ul. Staszica 16 chlubi się sławą jednego z najstarszych w kraju. Oczywiście wynikają z tego głównie kłopoty. Zabudowania szpitalne wtłoczone są w gęstą zabudowę śródmieścia. Tynki się sypią, posadzki kruszą, więc pomieszczenia wymagają stałych remontów.

Do sali noworodków pozwolono mi tylko wsunąć głowę. Adiunkt Teresa Walkiewicz-Paradzińska wprowadziła bardzo surowe rygory, stąd czysto tu, jasno, dobrze wywietrzone, choć tłok nie mniejszy niż w salach dla matek i na korytarzu. 35 łóżek-czek-hamaków nie wystarcza dla wszystkich dzieci, więc piętrowy wózek, którym normalnie oseski podróżują do karmienia, teraz zajęty jest na stałe przez dziesięć rozwrzeszczanych tobołków. A po ostrych dyżurach, bywa, dzieci leżą nawet w waniach, szufladach i koszach na leki.

Tuż za drzwiami rozparł się inkubator. Pod przyczyną kłosem wygrzewają się i przybierają na wadze wcześniaki. Najmniejszego, jaki został tu wychodowany, pamiętają wszyscy. Kasia Antol — 86 dkg bezradności — leżała pod kłosem 4 miesiące. A teraz ma już prawie rok i dobrze się chowa.

W dyżurce dzwoni telefon. Odbiera go siostra Jagna Mazur, od ośmiu lat oddziałowa.

— Słucham? Nie, jeszcze nie urodziła... Może poproszę lekarza... Nie, pacjentek z sali nie prosimy. Ale pójdę zapytać... Tak, pan się denerwuje. Nie dziwnego... Proszę chwileczkę zaczekać.

Po chwili siostra znów podejmuje słuchawkę.

— Nie, niczego nie potrzebuje. Prosi, żeby trzymać kciuki. Za dwie godziny będzie po wszystkim.

Siostra Mazur musi być wszechobecna i wszechwiedząca. To encyklopedia oddziału. Ona odpowiada za stan sanitarny i zdrowotny kliniki, sprawdza aptekę i uzupełnia leki, czuwa nad rozdawaniem posiłków, śledzi nad grafikami dyżurów, robi wykazy godzin nadliczbowych, zgłasza urodziny nowych obywateli do Urzędu Stanu Cywilnego, informuje rodzinę o stanie zdrowia matek i dzieci.



Za zmore, która ją zdręcza, uważa buchaierkę. Bo dla jednej pacjentki wypełnia czteroczęściową metryczkę, wpisuje położnicę do książki porodowej, wypełnia jej kartę gorączkową, kartę indywidualną zleceń, zakłada historię rozwoju noworodka.

Przed trzecią robi się w dyżurce tłok.  
— Siostrze, mogę dostać czyste spodnie?  
— Wzięłaś już bloczki na obiad? To idziemy.  
— Wezmę jeszcze trochę pieluch.  
Siostrze Irenie Tatarczuk jeszcze zostało kilka godzin dyżuru.

— Pracowałam kiedyś na ginekologii, ale tam było za dużo tragedii ludzkich. Przeniosłam się tutaj i bardzo lubię dyżury w sali porodowej. Dziecko zdrowo się rodzi. Aż miło.

Siostra oddziałowa zamyka szafki.

— Już idę. Mąż dzwonił, że wyjdzie później z pracy, więc muszę odebrać dziecko.

Wpada na chwilę docent Grudzień.

— Tu wszystko jak w kalejdoskopie. Pięć minut spokoju i alarm. Ciągłe napięcie. A pracuję w końcu okragle 25 lat w klinice. Obliczyliśmy kiedyś z kolegami ile czasu spędziliśmy na dyżurach. Wyszło 7 lat.

Pacjentka z czerwonymi goździkami:

— Przyszłam podziękować pani doktor. Już wychodzę. Właśnie przewijają mi dziecko.

— Wszystkiego dobrego. Przez 6 tygodni proszę być z nami w kontakcie.

Małgorzata Sawicka

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

## BAJKOWY EROTYK

W dzieciństwie marzyłem

o  
fajce niedopalce  
bulce niedojadce  
butelce niedopijce

moje marzenia spełniły się  
gdy poznałem ciebie  
Już od dwóch lat  
ogryzam twoje udko

Andrzej Misiura

## PRZED SNEM

Jeszcze czekasz  
twardnieje ciemność grudniowej nocy  
nikt już nie przyjdzie  
ani śmiać się ani mówić  
gaśnie szept ognia w palenisku  
i stygnie gorąca woda  
Nikt już nie przyjdzie  
Maciej Boryna dawno na cmentarzu  
i resztki dnia za brzoźową miotłą

Kamena str. 5

**G**DY wejrzeć w otoczkę tej sprawy, widzisz wszędzie — wódka, morze wódki! Pijaństwo — mówiąc językiem biegłych sądowych — sytuacyjne i obyczajowe, rozwydrzenie pijackie, alkoholizm. Aczkolwiek świadkowie i pokrzywdzeni na ogół powiadają, że nie pili z oskarżonym Waldemarem Polaczkiem (to i wszystkie następne nazwiska — zmienione).

Jadwiga Sudras (lat 25, krawcowa-chalupniczka) wraz z mężem Romualdem (lat 31, ślusarzem-mechanikiem, zatrudnionym w fabryce) mieszkali u ojca Jadwigi, Eugeniusza Radwańskiego (lat 52, szewca, pracującego dorywczo) i mieli małe dziecko. Radwański nie żył i nie mieszkał z matką Jadwigi, żył natomiast i udzielał schronienia swojej kochance, porzuconej przez męża, Janinie Zajac (lat 52), trudniącej się zasadniczo opróżnianiem i zbieraniem butelek. W trzech pokojach z kuchnią bytowali dosyć przestronnie, nawet jeśli wziąć pod uwagę częste, przedłużające się wizyty różnych obywateli, którzy u taty-Radwańskiego zbierali się na wódkę.

We wrześniu 1974 roku Jadwiga poznaje Waldemara Polaczka (lat 22), który wraz z jej bratem pracował w „Transbudzie”. Kroi się romans „na oczach” męża Jadwigi, który raz próbuje protestować, ale poproszony na podwórko i skopany przez Waldemara — ostatecznie godzi się z losem rogiacza. W listopadzie 1974 roku Jadwiga zabiera trochę ciuchów, dziecko i przemeldowuje się na stałe do Waldemara, mieszkającego wraz z matką w półowce odziedziczonego domku. Mąż Jadwigi „bierze sobie” inną dziewczynę i odtąd z nią mieszka u Radwańskiego. Sytuacja zdaje się być wyjaśniona pod względem lokatorsko-towarzyskim, nikt do nikogo nie rości pretensji.

Wielka musiała być skłonność Jadwigi do Waldemara, skoro kobieta decyduje się porzucić męża i dom rodzinny, wiedząc, że Waldemar ma kilkuletnie nieślubne dziecko, na które płaci alimenty, i że Waldemar siedział poprzednio za kradzież z włamaniem. Na początku 1975 roku Jadwiga zachodzi w ciążę, przyszłym ojcem jest jej kochanek. W maju Polaczek przechodzi z „Transbudu” do innego przedsiębiorstwa, gdzie w charakterze kopacza zarabia około 6000 złotych miesięcznie. Buduje akurat kanał deszczowy na peryferiach miasta.

13 sierpnia zdarza się Waldemarowi Polaczekowi głupia sprawa. Rano zwalnia się z pracy, aby pójść do lekarza. Wraz z nim zwalnia się kolega-kopacz, Adam Cienkowski, który ma odwiedzić chorą żonę w szpitalu. Polaczek do lekarza nie poszedł, Cienkowski rozmawiał z żoną telefonicznie, natomiast obaj panowie uradzili, że muszą wypić pół litra, na co Cienkowski zaferował pieniądze i lokal własny. Potem uradzili jeszcze, że muszą wypić dwa wina, na co znów Cienkowski zaferował, bo Polaczek „pusty”. A potem, gdy Cienkowski wyszedł do drugiego pokoju pokłócić się z rodzicami, Polaczek wyjął z szafy portmonetkę, z portmonetki 2500 złotych i zbiegł, nim Cienkowski wrócił. A więc kumpel kumpolwi...

Odtąd zaczyna się Polaczekowi ciąg alkoholowy. Następnego dnia nie poszedł do pracy, wrócił do domu wieczorem, a Jadwiga powiedziała mu, że był Cienkowski z milicjantem, żądając jakichś 2500 złotych. Wyduśliła od kochanka 500 złotych, które następnego dnia oddała Cienkowskiemu, a kilka dni potem dołożyła jeszcze 500 z własnych zasobów. Chciała ratować Waldemara, który cały czas pił, do roboty przychodząc z rzadka. I tak to trwało do 24 sierpnia, czyli do niedzieli.

Tej niedzieli Polaczek wstał rano, ciągle pijany, zażądał od Jadwigi 400 złotych, zainkasował i zniknął. Nie doczekała się go do obiadu, wzięła dziecko i — zmaltretowana, w ciąży — pojechała do ojca, żeby się poskarżyć, jak to kochanek ostatnie jej pieniądze wyciąga, na wódkę dla siebie zresztą. Użalił się nad nią: ojciec i jego kochanka, Janina Zajac, nocleg zaproponowali.

Tymczasem Polaczek oddawał się łagodnym urokom życia towarzyskiego w barakowozach, pojechał bowiem na budowę kanału deszczowego. Tutaj pojawiają się nowe postacie, a wszystkie akurat w dzień sobotniej zaliczce na miesiąc sierpień: dyżurujący w barakowozie dozorca, Jan Stolarczyk (lat 67), Zdzisław Dębik (lat 41, operator pomp wodnych) oraz niejaki Oldas, brygadzysta (lat 54). Wszyscy wypierają się, jakoby pili wódkę z Polaczkiem tego dnia. On sam powiadał początkowo, że pił z nimi. Potem — w konfrontacjach — że już dokładnie nie pamięta, kiedy i z kim, może mu się pomyliły niedziele?



Rys. E. Inglot

Najprawdopodobniej zjawił się rano w barakowozie Stolarczyka i dowiedział się, że Dębik jest w mieszkaniu Oldasa. Pojechał tam i zastał towarzystwo przy stole zabawiające się butelką. Wypili i z Dębikiem wrócił do barakowozu Stolarczyka, po drodze nabywając na melinie pół litra, które ze Stolarczykiem wypili. Wtedy Dębik wyciągnął z barakowozu koldrę i przysnął w pobliżu na murawie, a Polaczek poprosił dozorcę, żeby ten mu przyniósł od okolicznych rolników trochę jajek, pomidorów i mleka, na co wyasygnował 9 złotych hojną ręką kopacza, który przesadnie zakaszać nie lubi. Dozorca پروiant dostarczył.

Sytuacja jest taka, że wokół ualnej sierpniowej popołudnie, Dębik chrapie opodal, jacyś chłopcy kąpią się w pobliskiej rzeczce, tylko w barakowozie poczyna się dzieć coś niedobrego. Podobno Stolarczyk nazwał Polaczka złodziejem, albowiem o przypadku z Cienkowskim było już w przedsiębiorstwie wiadomo. W każdym razie Polaczek porywa leżący na stole nóż kuchenny i wbija go Stolarczykowi — jak potem fachowo ustalą lekarze — „w okolicę czwartego międzyżebra w linii środkowo-obojęzycznej z lewej strony ciała”. Wrzask, dozorca wybiega z barakowozu, Polaczek ucieka, Dębik się budzi, przygotowie i tak dalej. Gdyby ten nóż poszedł parę centymetrów głębiej, byłoby po Stolarczyku...

Tymczasem Polaczek wałęsa się ulicami miasta, piwo popija, aż wreszcie trafia do mieszkania taty-Radwańskiego, gdzie też i zastaje swoją Jadwigę. Rozmawiają krótko, a ponieważ jest wieczór, Polaczek zabiera Jadwigę i dziecko do swego domu. Tu opowiada kobiecie, że „pociągnął” nożem Stolarczyka, i... kładą się spać. W poniedziałek rankiem oznajmia, że musi wyjechać, bo będą go poszukiwać. Jadwiga znów wybiera się do ojca, ale jeszcze zwleka. Polaczek wychodzi z domu, wypija parę piw w mieście, idzie na amerykański film „Mściciel”, pije parę piw...

Około południa trafia ponownie do mieszkania taty-Radwańskiego, gdzie Jadwigę wprawdzie jeszcze nie ma, lecz po stole krząją butelki, a wokół stołu: szewca Radwański, jego Zajęcowa i jakiś „kuzyn”. Polaczek dołącza, pija i pija, potem wraca do domu i oświadcza Jadwidze, że teraz już definitywnie wyjeżdża. Po jego wyjściu Jadwiga z

dzieckiem udaje się do ojca, a tam bankiet kwitnie nadal, bez Polaczka, ale już poszerzony o prawowitego męża Jadwigi i jego „narzeczoną”. Około 22.00 całe towarzystwo morzy sen. W jednym pokoju śpi Jadwiga z dzieckiem, w drugim — Radwański, w trzecim — Zajęcowa, w kuchni — mąż Jadwigi z dziewczyną.

Od powtórnego wyjścia ze swego domu Polaczek włóczył się po ulicach, dowiedział się już, że poszukuje go milicja, zaś Stolarczyk żyje. Na wyjazd z miasta Polaczek nie ma pieniędzy, zostało mu tylko na kilka piw, które wypija. Przed północą jest znowu w domu Radwańskiego. Wszyscy śpią, wchodzi

do pokoju Janiny Zajac, potrząsa kobietą i mówi: „Dawaj forszę, ciotka!”, Zajęcowa odmawia, wtedy łapie ją za gardło, bije, kopie. Nadal wszyscy śpią, Zajęcowa spada z łóżka i mdleje, Polaczek budzi Jadwigę. „Uduślim Jaśkę!” — powiada. Jadwiga ubiera się, wychodzi z Polaczkiem, jadą do jego domu, ale nie wchodzi do mieszkania. Siadają na ławce w ogrodzie, Waldemar układa głowę na jej kolanach i zasypia. Nie widząc dla siebie ani dla Waldemara innego wyjścia, Jadwiga z pobliskiej budki telefonicznej dzwoni po milicję. Zatrzymano Polaczka około 2.00 w nocy, kiedy spał twardo na ławce w ogrodzie przed swoim domem. Janina Zajac uszła z życiem, choć ciężko poturbowana.

Sąd wymierzył Waldemarowi Polaczekowi karę ośmiu lat pozbawienia wolności, 5000 złotych grzywny (z zamianą, w wypadku nieuiszczenia, na 50 dni aresztu), przysądził 7000 złotych opłaty sądowej oraz 6964 złote kosztów postępowania. Wyrok się uprawomocnił. Przedtem jeszcze Janina Zajac i Jan Stolarczyk wyzdrowieli; siostra Polaczka zwróciła Cienkowskiemu brakujące 1500 złotych; Jadwiga Sudras — jak to mówią — zesłała się z Romualdem Sudrasem, który przegonił „narzeczoną”, i mieszkają u taty-Radwańskiego, który pewno pije nadal. Dziecko poczęte z Waldemarem urodziło się Jadwidze przedwcześnie i martwe.

Czas przyjrzeć się bliżej postaci Waldemara, który choć skazany, nie powinien uskarzać się na niesprawiedliwość czy surowość wyroku. Rozważywszy bowiem najdrobniejsze nawet wątpliwości na korzyść oskarżonego, sąd nie zakwalifikował pchnięcia nożem jako ewentualnego zamiaru zabójstwa, o co Polaczek był m. in. oskarżony, lecz jako „spowodowanie choroby zazwyczaj zagrażającej życiu”. Inaczej kara łączna mogłaby sporo przekroczyć ośmiu lat pozbawienia wolności, jeżeli wziąć pod uwagę pijaństwo oskarżonego, towarzyszące wszystkim jego przestępstwom i zbrodniom, oraz recydywę w przypadku kradzieży u Cienkowskiego i napaści na Zajęcową.

Polaczek pochodzi z rodziny, gdzie zwyczajem było, że ojciec, choćby najmarniejszy nawet trzcystwartak, powinien utrzymywać całą rodzinę. I ojciec utrzymywał, aczkolwiek z trudnością, ponieważ popadł w alkoholizm, i dom był awanturny.

Waldemar jest czwartym, najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Kiedy ojciec go odumarl, chłopak miał 6 lat, najstarsza siostra — 19 lat (ta, co potem założyła za Waldemara 1500 złotych), i wtedy matka musiała stanąć do pracy.

We wczesnym dzieciństwie Waldemar przechodził lęki i moczenia nocne. W VI klasie szkoły podstawowej zaczął wagarować tygodniami, w karty grywał, wino popijał. Skończył podstawówkę i dalej uczyć się nie chciał. W wieku 16 lat mógł już swobodnie wypić pół litra wódki bez utraty przytomności. Mając 17 lat, podjął współżycie seksualne. „W tym czasie u stryja na stacji mieszkała taka jedna, żyłem z nią

# Życie towarzyskie

Maciej Podgórski

ośmiu miesięcy, mam z nią dziecko, to syn jest, ona później wyszła za mąż” — powiada. Kiedy usłyszał o tym dziecku, usiłował się otruć. Pracował z długimi przerwami: prywatnie jako pomocnik murarza, w fabrycznej odlewni („wyrzucili mnie z pracy, nie chodziłem i wyrzucili, tam było gorzej niż w kopalni”). Na ogół utrzymywała go matka. Po tem włamanie i więzienie. Praca w „Transbudzie” i tak dalej.

Biegli sądowi znaleźli u Waldemara: niestalość, nadpobudliwość nerwową, nieźrównoważenie emocjonalne, skłonność do agresji; cechy spotęgowane nalogowym alkoholizmem, na który wskazują ciągi alkoholowe, poranne rozdrażnienia, drżenie rąk, „klinowanie” piwem. W sumie — psychopatia wynikająca z obciążen genetycznych, dziedzicznych i środowiskowych, co wprawdzie pozwala zrozumieć zbrodnie Waldemara, ale nie zwalnia go od odpowiedzialności prawnej.

Można by powiedzieć, że jest to sprawa dosyć szczególna i raczej z marginesu społecznego, choć przecieć nie całkiem. Posiadamy podobno najlepszą ustawę antyalkoholową na świecie, tylko że nie wszyscy i nie zawsze jej przestrzegają. Ci robotnicy zwyczajni, swobodnie popijający na budowie. Ten kierownik budowy, który tylko dwa razy (?) widział Polaczka pijanym podczas pracy i go — jak powiada — odesłał. Te kelnerki i bufetowe, które pijanemu Polaczekowi podawały wódkę i piwo, kiedy on poszedł w swój dwutygodniowy „cug”. Ten przekleśły szantaż obyczajowego, żeby pić przy byle okazji. Ta „kultura” piela — szybko i na ogół bez zakąski. Dla Polaczka — jak sam oświadczył — pijany jest ktoś wtedy, gdy nie może chodzić, wszelkie inne przypadki po spożyciu alkoholu to jedynie — „wstawiony”!

Jeśli komukolwiek zdecydowanie współczujemy w tej tragicznej historii, to głównie Jadwidze, która idąc za głosem serca, marnowała swoje życie, aczkolwiek może ona tym wszystkim za bardzo się nie trapiła, nie odczuwała tego głębiej, i moje współczucie śmieszne tu i niepotrzebne? Może w takich przypadkach humanistyczne komplikacje, wyśmienite problemy przyjaźni, miłości, wierności, lojalności i zdrady tracą sens, a sprawy rozgrywane są znacznie prościej — na płaszczyźnie instynktownych odruchów, trywialnych chęci? Ruja i w dodatku głupia? Heca i w dodatku paskudna?

# PODWOJONY DZIEŃ TEATRU

Maria Bechcyc-Rudnicka

**M**ARCA 27, w Międzynarodowym Dniu Teatru, tym razem w samo południe, byłam wzruszonym obserwatorem uroczystego, a zarazem wybitnie serdecznego spotkania władz partyjnych i administracyjnych z ludźmi, którzy najlepszą część swej duszy oddali w służbę scen lubelskich. Wieczorem zaś siedziałam już w pociągu, podążając w kierunku Gdańska-Sopotu, gdzie miałam nazajutrz, w niedzielę, obejrzeć „Białe małżeństwo” Różewicza i „Emigrantów” Mrożka.

Chodźło mi głównie o „Białe małżeństwo”, „Emigrantów” widziałam przeszło rok temu w paryskim Petit Orsay. Wprawdzie owo „Mariage blanc” również oglądałam i nawet trzykrotnie na dwóch scenach (2 + 1), ale przy wyprawie do gdańskiego teatru na Targu Węglowym zadziałała szczególna podnieta: niedawno temu, na VI Jeleńskich Spotkaniach Teatralnych, zorganizowanych przez wspaniałą kobietę-dyrektora i reżysera, Alinę Obidniak, zachwycił mnie spektakl „Lalka” Herberta w interpretacji Ryszarda Majora. Pomyślałam sobie wtedy — jeśli Major umie tak celnie pokazać sprawę realne poprzez dramat współczesnej poetyki artystycznej, jeżeli pokazuje czytelnie życie sposobem zabezpieczającym przed pospolitym naturalizmem, mógłby więc tak wnikliwy reżyser znaleźć niegorszy kształt dla „Białego małżeństwa” którego fata, od momentu ukazania się w lutowym numerze „Dialogu” z r. 74, zapowiadały się wręcz... fatalnie.

Pierwszy atak na sztukę przypuścił „Ekran”, srodze zgorszony jej „naturalizmem”. Ta iście wiktoriańska pruderia wydawała się nieco zaskakująca w dobie, kiedy na scenach dość powszechnie naturalia są nie tylko nazywane po imieniu, ale i demonstrowane, dalebóg, drastycznie niż w „Białym małżeństwie”, bo częstokroć z lubością i w celach merkantylnych, a nie w klimacie gorzkiego szyderstwa, dla dosadniejszego ukazania właściwości psychofizycznych ludzkiej natury i wynaturzeń. „Ekran” zaserwował najsmakowitsze kąski z didaskaliów „Mariage'u” tudzież z wynurzeń enfant precoce, Paulinki, wyrażając przy okazji obawę, by Stary Teatr w Krakowie nie skalał swej chlubitnej reputacji prapremierą horribile dictu — pornograficzną.

Z kolejną dezaprobatą wystąpił bezzwłocznie na bardzo szacownych łamach szeroko znany specjalista dziedziny. Kiedy indziej kurtuazyjny, nie szczędził teraz nader kąśliwych złośliwostek felietonowych. Większość krytyki i dykcji scen polskich obleciał strach. Mijały miesiące i zanosilo się na to, że „Mariage blanc” — nomen omen — nie wyda dziecka scenicznego, aczkolwiek repertuary naszych teatrów nie są przeladowane nowymi sztukami polskich dramaturgów współczesnych. Aż tu nagle przy końcu stycznia gruchnęła nowina: najodważniejszy z dyrektorów normalnego teatru zawodowego, ba — dyrektor Teatru Narodowego, wystawia „Białe małżeństwo” Tadeusza Różewicza w swej filii, Teatrze Małym.

Tadeusz Różewicz, odpowiadając na różne pytania w „Odrze”, powiedział m. in.: ... uważam, że ingerencja reżysera w tekst literacki jest konieczna, jeśli z tego tekstu ma powstać spektakl teatralny... Oczywiście ważne jest kto w co ingeruje. Jeśli ingeruje głupiec, to narobi głupstwa (zresztą zawsze znajdzie adwokatów swojej bzdury)... Mądry reżyser wie, gdzie leżą granice jego ingerencji w tekst literacki...

Otóż reżyser warszawskiego spektaklu, Tadeusz Minc, wiedział. Jego „ingerencja” sprawdziła się głównie do pomysłowej likwidacji „dosłowności” w prezentowaniu wymienionego w didaskaliach fallusa. Poza tym Minc zrealizował autentyczny tekst autorski: zgrabnie, komediowo, elegancko, dynamicznie (dynamice sprzyjała wydatnie konstrukcja ślicznej, najnowocześniejszej salki teatralnej w Warszawie) Uwydatnił też należycie re-

żyser satyrę na secesję literacką, ku zadowoleniu widzów z dzisiejszego high-life'u kulturalnego, którzy mogli się nacieszyć identyfikacją adresatów (błogo zapominając, że coś niecoś z faktur artystycznych początku naszego stulecia zapożyczyło się na użytek kolejnych awangard).

Teraz dopiero posypały się obfite recenzje. Już po większej części dobrotliwe, niemniej poprzedzające dla kontensu na umiarkowanie korzystnej ocenie spektaklu. Zresztą gros ocen, po wyłowieniu prześmiewek Różewicza z pretensjonalnej tandety secesyjnej, nie drażyła zasadniczej sprawy „Białego małżeństwa”. Przede wszystkim, sądząc, dlatego, że w wesolym, różowym spektaklu Minca zabrakło tu i ówdzie „muzycznego” grania, zwłaszcza w finale, który, miast spuwentować brzmiały w sztuce apel o integralną człowieczą godność kobiety, zawisł w niepojętej próżni.

Niedługo potem Kazimierz Braun, któremu udało się w Lublinie „Akt przerywany” i „Kartoteka”, a nie udała „Stara kobieta...”, objawiając dykcję wrocławskiego Teatru Współczesnego, sprezentował drugą z kolei premierę „Mariage blanc”. Przypuszczam, że speszony niepowodzeniem swej nieco ekscentrycznej koncepcji „Starej kobiety...”, postanowił tym razem dochować większej wierności intencjom Różewicza. I rzeczywiście, zgłębiając treść „Białego małżeństwa”, niewątpliwie dociera do jego sedna, o czym świadczy chociażby sam fakt zamieszczenia w programie artykułu Józefa Kelery, albowiem artykuł ten kończy się najtrafniejszym, najlapidarniejszym, najprostszym sformulowaniem jakiego mógł chyba sobie życzyć Tadeusz Różewicz dla ustalenia ciężaru gatunkowego swej sztuki.

Pisze Kelera — *Założenie jest takie: poprzez konwencję pewnej epoki, dość już odległej i dość „stylowej”, by jej konwenans rysował się ostro i jaskrawo jako konwenans, ale nie nazbyt archaicznej — ujawnić stan dzikości i „zwierzęcości”, pod warstwą kultury utajony zawsze bardzo płytko. Zderzyć zatem — na tle tego bardzo eleganckiego, bardzo śmiesznego i bardzo stylowego konwenansu — „człowieka biologicznego” z „człowiekiem społecznym”...*

Tak, tak, tak! Jenó że odczytanie sztuki dzieli od jej realizacji, powiedzmy, wawóz, z którego wyrzuwają, a częścię wypelzają pomysły inscenizatorskie, nieraz jadowite. Za taki uważam potraktowanie św. Mikołaja ze snu Bianki. Jakże jego uplastycznienie — nawet zgodne z opisem śniącej — wypadło topornie (ze snami na scenie zazwyczaj kłopot). Albo te kukły anioła-stróża i diabła (reminiscencja człowieko-nadmarnonetek Bread and Puppet Company). Zalaływało od nich po prostu parafię. W sumie, poza scenami dziewcząt, zaciążyła nad spektaklem zawieszona nuda. Dlaczego? Może Braun przeholował w powadze. A przecież Różewicz lubi mówić o poważnych rzeczach na pozór niepoważnie.

„Białe małżeństwo” ukazało się w książkowym wydaniu nakładem krakowskiego Wydawnictwa Literackiego pod sam koniec ub. r. w liczbie 20 tysięcy egzemplarzy, które natychmiast zostały rozchwyte, zatem sporo czytelników niniejszej relacji zna treść sztuki. Wystarczy, gdy sobie zrekapitulujemy, że fabułka jest minimalna: sprawy dzieją się w małym dworku, gdzie dwoje dziewcząt, ciekawych życia, najwinnie prowadzi nieskromne rozmowy poznawcze o „tych rzeczach”. Charaktery dziewcząt nie są bynajmniej „spłaszczony” (jak by tego chcieli teoretycy myślący o twórczości Różewicza przyjętymi na stałe kategoriami) — z Paulinki będzie chyba kobieta z „praktycznym” podejściem do drażliwych spraw życiowych, Bianka to marzycielka, którą sprawy seksu przyprawiają o wręcz obsesyjne przeżycie. I to właśnie ona jest już „panną na wydaniu”. A dokoła panuje atmosfera wybujałego erotyzmu, „emanującego” par excellence z By-

ka-ojca i żywotnego Dziadka, podczas gdy Matka stała się ofiarą nieposkromionego temperamentu męża. Do tej sytuacji zastanej przez widza dochodzi na końcu ślub, przy czym małżeństwo ma być, według porozumienia młodych, „nieskonsumowane”. Tyle anegdoty.

Jak rozegrał Ryszard Major bogate treści, którymi nasycił autor daną sytuację? Przede wszystkim wypadnie mówić przy spektaklu gdańskim o duumwiracie — reżyser Major, scenograf Kołodziej.

Na początku mamy przed oczami fasadę niewielkiego dworku; dwa okienka na prawo, dwa na lewo, dwie pary zarosniętych kolumnek przy drzwiach wejściowych. Z dachu wystają obfite narośle (może fallusy dromaderów, o których czytają dziewczętki?). Przed dworek wychodzi Bianka w białych majtkach, z księgą pod pachą. Nawołuje rozpaczliwie nie dostrzeganą przez siebie Paulinkę, bujając się na wysoko zawieszonym huśtawce. Raptem fasada idzie w górę, odsłaniając sypialnię dziewcząt, wydzieloną z przestrzeni scenicznej trzema fryzowymi parawanami. Następuje wierny „historyczny” dialog Różewicza, po nim obrót i już jesteśmy w saloniku z profuzją fantazyjnie „secesyjnych” mebli i rekwizytów (jakaś „barokowa” secesja). I zaczyna się istna orgia scenograficzna, chyba Marian Kołodziej objął w tej inscenizacji przewodnictwo, wyżył się w niej jak nigdy. Nie mówię tego z wyrzutem, wręcz przeciwnie — po chwilach oszłobienia, ten żywioł artystyczny zaczął mnie porwać. Kołodziej przypomniał ludziom teatru, jak dalece scena obrotowa może być przydatna do wirtuozowskich przemian dekoracji syntetycznej. Nie było czasu do namysłu, co dobrze służy idei Różewicza, co odrywa od niej uwagę.

Dopiero nazajutrz, po ochłonięciu z wrażenia, doszłam do wniosku, że to i owo można inscenizacji zarzucić. Niepotrzebnie np. zastąpił Ryszard Major św. Mikołaja jurnym Dziadkiem, włączając pod koldrę Paulinki; niesłusznie imputuje Ciotce mizdrzenie się do Beniamina, a i wprowadzenie zamiast spotkania w borze z ekshibicjonistą — zbiorowego gwałtu w karecie z epoki Ludwików nie było chyba zgodne z intencjami Różewicza („do tłustej kury nie dodaje się smalcu” — głosi stare przysłowie).

Natomiast podobala mi się zamiana gdakania i gegania na układane w trakcie uczytwej weselnej ex promptu dowcipasy, wzorem czastuszek czy nasyżych okolicznościowych kupletów wiejskich. Ale nade wszystko trzeba pochwalić nareszcie znalezienie, frapujące rozwiązanie finału, tragiczny moment, kiedy po zejściu z łoża ślubnego, posłanego na tejsze karecie-retro, naga Bianka, kładąc się na podłodze proscenium i zasłaniając niejako „sobą” swoją „kobieca” nagość, wola z przejęciem do ludzi na widowni: „Jestem twoim bratem!”

Cała obsada aktorska stanęła na wysokości zadania. Tylko wciąż jeszcze dręczy mnie kwestia, w jakim stopniu spektakl Majora i Kołodzieja jest zgodny z zarysowującym się w „Białym małżeństwie” przejściem (naswrotem?) Różewicza od tzw. „mozaiki” do „szerokiego”, że tak powiem, pędzla (co zaakcentuje się potem w „Do piachu”). Tak czy inaczej, „Mariage blanc” zaczyna odnosić triumfy i nawet za granicą. Niedawno za oceanem w Port Jefferson, ostatnio w sztokholmskim Królewskim Teatrze Dramatycznym. „Dusza domaga się wymiaru sprawiedliwości” mówi pewna postać sceniczna u innego dramaturgów. Nie zawsze wymiar musi być tragiczny. W programie Teatru „Wybrzeże” znajdujemy m. in. ładną analizę twórczości Tadeusza Różewicza, pióra W. Filiera, przedrukowaną z książki „Ludzie i prapremiery”.

Spektakl „Emigrantów” w Sopocie, wyreżyserowany przez Marka Okopińskiego, był nie gorszy od przedstawienia teatru Barraulta.

## O czym to świadczy?

**S**ZKOLY naszego województwa otrzymały w marcu z Wojewódzkiej Komendy OHP pismo następującej treści:

„Komendant Szkolnej Komendy OHP (wszyscy)

Wojewódzka Komenda OHP FSZMP w Lublinie w załączeniu przesyła fronty pracy na wakacyjne OHP na terenie województwa lubelskiego i innych województw. Po wybraniu frontu pracy, prosimy o przesłanie umów wypełnionych i podpisanych przez komendanta Szkolnej Komendy OHP lub komendanta który wyjeżdża z młodzieżą na odwrotnej stronie, umowy w lewym rogu. Prosimy również w tym samym miejscu podbić pieczętkę Szkolnej Komendy OHP lub pieczętkę szkoły. Prawą część umowy gdzie

pisze: Dyrektor zakładu pracy — prosimy zostawić wolną. Wiąże się to z prawidłowym wypisywaniem umów.

Umowy prosimy przysyłać na adres: Wojewódzka Komenda OHP, ul. Królewska 17, 20-109 Lublin.

Przed wysłaniem umowy prosimy przedzwonić na nr. tel. 262-56 lub 228-53 — celem uzgodnienia, czy dany front pracy nie został już zabrany przez inne szkoły.

Łączymy młodzieżowe pozdrowienia.

Starszy Inspektor WK OHP w Lublinie dla hufców sezonowych Grażyna Jaworska”.

Pisemko to, odbite na powielaczku i rozesłane w świat, może prowadzić do kilku wniosków. Ze naszej młodzieży absolutnie wstrętna jest polszczyzna, zasady logiki

oraz interpunkcji, czyli poloniści szkolni pracują bardzo źle, zaś organizacją OHP na Lubelszczyźnie zajmują się ludzie o wykształceniu zdecydowanie przedmaturalnym. Lecz to wniosek najprostszy.

Albowiem okazuje się również, że młodzież nasza, choć niedoedukowana pod względem kultury i logiki językowej, traktuje personel szkół jako grono — przepraszam! — idiotów, których należy szczerze pouczyć oraz instruować przy wykonywaniu najprostszych czynności urzędowych. Taki stosunek do znacznych pedagogów tłumaczyłby pogardę młodzieży dla nauk polonistycznych, serwowanych w szkołach, a może nawet do jakiegokolwiek nauk w ogóle.

I w końcu jest sprawa znana ludziom dojrzałym, iż w wielu dziedzinach życia z konieczności obowiązuje dosyć specyficzne, utarte słownictwo. Nie należy z tym jednak przesadzać i trochę mnie śmieczy, kiedy na przykład w sądzie podczas rozprawy słyszę: reformy (zamiast — majtki), czy konkubina (za-

miast — kochanka). Tym bardziej mnie śmieczy, kiedy młodzieżowi organizatorzy ochotniczego ruchu młodzieżowej pracy posługują się straszliwym, stetycznym żargonem urzędowym: podbić pieczętkę, przedzwonić, dany front pracy itp. Gotów jestem podejrzewać, iż Wojewódzka Komenda OHP tylko z pozorów traktuje swoją działalność poważnie, faktycznie zaś spogląda na swe wysiłki przez pryzmat biurokratycznych sprawozdań, stosów „urzędowej korespondencji” niemu nie służącej.

Do takich oto wniosków może prowadzić cytowane pisemko. Lecz ja tych wniosków nie wyciągam. Myślę po prostu, że pani Grażyna Jaworska, która podpisywała (redagowała?) „dokument”, źle się czuła tego dnia akurat. A może się myli? Łączę młodzieżowe pozdrowienia!

pom

niom. Tymczasem oddajemy głos kilku artystom — uczestnikom „Spotkań”, których zaprosiliśmy do dyskusji przy redakcyjnym, nieco kanclasiowym stole. Wchodzi oni w skład trzech zespołów projektowych, czterech z nich to lublinianie. Tak zatem w dyskusji brali udział: Zofia Kopel-Szule z Lublina, Jan Berdyszak z Poznania, Bronisław Chromy z Krakowa, Andrzej Kolodziejek z Lublina, Ryszard Lis z Lublina, Stefan Papp z Krakowa, Henryk Szule z Lublina, Ryszard Winiarski z Warszawy. Redakcję reprezentował Ireneusz J. Kamiński.

I. J. Kamiński: — Witam serdecznie i dziękuję Państwu za przyjęcie naszego zaproszenia. Na wstępie takie oto pytanie: czy „Spotkania”, których komisarzem generalnym jest niezmordowany Marian Bogusz, spełniają Wasze oczekiwania, nadzieje, czy ich program umożliwia twórczą samorealizację?

R. Lis: Impreza rozwija się bardzo interesująco, rozpraszając początkowe obawy co do jej charakteru. Na wystawie w domu kultury koledzy pokazali kawał ciekawej i rzetelnej roboty, ujawnili oryginalne podejście do sprawy. Uważam przecież, że o pełnej satysfakcji będzie można mówić dopiero wtedy, kiedy przynajmniej większa część projektów doczeka się realizacji. Rozumiem, że nie jest to możliwe od razu...

I. J. Kamiński: — Wspólnie z Marianem Swistem zaprojektował Pan trzy rzeźby dla osiedla Piastowskiego, przeznaczone do indywidualnej kontemplacji, które na pewno nie straciłyby swej urody, swego sensu plastycznego, gdyby je ulokować w każdym innym miejscu. Ze zbliżoną propozycją wystąpił pan Chromy, którego chciałbym zapytać, w jakim stopniu brał pod uwagę rygory przestrzenne i emocjonalne, narzucone przez środowisko osiedla im. Słowackiego?

B. Chromy: — To specyficzne osiedle, albowiem od podstaw projektował je prof. Oskar Hansen, podchodząc do problemu integralnie, widząc np. wzgórze, które obecnie mnie zaproponowano do rzeźbiarskiego rozwiązania, jako miejsce spotkań mieszkańców, miejsce relaksu, kontemplacji itp. Po rozmowie z profesorem dochodzę do wniosku, że za oferowanie mi tego wzgórze było błędem ze strony organizatorów, albowiem autor osiedla nie życzy sobie lokowania rzeźby na owym wzniesieniu. Uważa, że przeznaczając ten teren dla człowieka, dla spacerowicza, definitywnie zamknął sprawę. Nie oponowałby tylko wtedy, gdyby rozwiązania rzeźbiarskie były parterowe, niskie, najlepiej — ukryte w terenie. Odpowiedziałem na to, że była taka góra zwana Akroplem, na którą wyszedł człowiek i zdecydował się wznieść tam świątynię. Tego człowieka już dawno nie ma, ale pozostała świątynia, świadcząca o jego wielkości. Proponując monument o nazwie „Człowiek i przestrzeń” chciałem zaznaczyć wielkość człowieka, zachowując koncepcję „teatru osiedlowego” w stanie raczej nienaruszonym. Ale wynikło nieporozumienie...

I. J. Kamiński: — W tym momencie przypomina się rezerwa, z jaką mieszkańcy przyjęli koncepcję Oskara Hansena, zmateriałizowane w osiedlu im. Słowackiego...

B. Chromy: — Podczas wizji lokalnej na wzgórzu zobaczyliśmy tam widoczek, który raczej kłócił się z naszymi nadziejami profesora: otóż w biały dzień młodzież ostro mocowała się z wodką... Chciałbym dodać, że w samym wnętrzu osiedla zaproponowałem przestrzenną fontannę, widoczną z wielu mieszkań. A woda jak ogień — przyciąga. Przepuszczam, że ceramiczne kolorowe misy fontanny byłyby interesującym akcentem plastycznym osiedla.

I. J. Kamiński: — Dotknął Pan ważnej sprawy, a mianowicie uwarunkowań materialnych i technologicznych wykonawstwa, co chyba szczególnie interesuje pana Winiarskiego, który wraz z Emilią

Bogdziewicz zaprojektował luźny mozaikę na „ślepych” i ponurych w wyrazie szczytach trzech wysokich budynków.

R. Winiarski: — To byłoby najwspanialsze w moim życiu sympozjum, gdybyśmy, całym zespołem, mogli spotkać się z architektami i zaprojektować osiedle od początku. Powracając na grunt rzeczywistości: osiedle im. Sienkiewicza, obszar naszej uwagi, po raz pierwszy zobaczyłem zimą, w śniegu, błocie i wodzie, bez zieleni i jak zawsze dotąd starałem się pogodzić geometrię z krajobrazem, tak teraz zrodził się

elementach nie chciałbym jednak mówić szerzej. Wynikają one z całej zaproponowanej przez zespół sytuacji i powstały drogą wielkiej rezygnacji. Trzeba wiedzieć, że praca całego zespołu polegała na respektowaniu realizmu w projektowaniu. Osiedle zostało nam dane, razem z istniejącymi już chodnikami... Pozwolił mi się tutaj użyć za późno...

R. Winiarski: — W charakterze straży pożarnej...

J. Berdyszak: — Ale pozwoliliśmy. Uczestniczyłem w wielu po-

## LUBELSKIE SPOTKANIA PLASTYCZNE 76

we mnie bunt przeciw geometrii wielkich i ciężkich domów, gwałtujących szalenie bogaty, zróżnicowany teren. Spróbowałem więc zneutralizować geometrię przez wprowadzenie na ściany szczytowe budynków mozaikowej iluzji zielono-żółtych pejzaży, przedstawiających drzewa i inną roślinność z fotograficzną wiernością. Technika realizacji tego projektu jest dość prosta, choć trudno wykluczyć pewne trudności.

I. J. Kamiński: — Miejsce i charakter „Spotkań” wpłynęły zatem na pańską twórczość.

R. Winiarski: — Lubię tego rodzaju spotkania, sympozjony. Nie tyle dla samego miejsca, w którym mam okazję przebywać, co dla ruchu myśli, jaki one wyzwala. Ten ruch skłania człowieka do własnych przemyśleń i decyzji — istotnych dla twórczego rozwoju. Sympozjum odbywa się na zasadzie rewanżu: my dajemy miastu jakieś propozycje, miasto uruchamia w nas pokłady przemyśleń, na które być może nie zdobylibyśmy się w codziennym standardowym życiu.

I. J. Kamiński: — Czy lubelska impreza umożliwiła ten ruch myśli, wymianę poglądów?

R. Winiarski: — Takich okazji zawsze i wszędzie brakuje. Uczestniczyłem w różnych sympozjach, w kraju i za granicą, często nieprawdopodobnie przemyślanych i wie pan co? Najczęściej rozmawialiśmy o tym, jak doprowadzić do częstszych rozmów! Wiem przecież, że w Lublinie doszło do bardzo ciekawej wymiany poglądów, tyle że w dość kameralnym zespole, do którego właśnie należę. Niestety, nie było mnie tutaj wówczas.

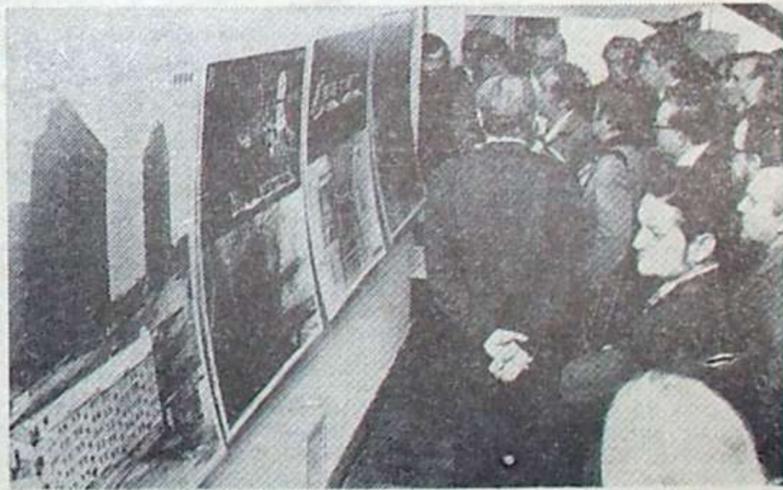
I. J. Kamiński: — Chodź mi o organizacyjne zagwarantowanie owego ruchu myśli...

R. Winiarski: — Autentyczna, żywa wymiana poglądów jest możliwa w mniejszych zespołach. 15-20 osób zapewnia komunikatywność sytuacji.

I. J. Kamiński: — W Lublinie ujawnił się inny Winiarski, natomiast pewne elementy przestrzenne, które w ramach szerszej koncepcji przedstawił Jan Berdyszak, świadczą, że nadal mamy do czynienia z tym samym artystą, znanym nam tutaj z wystawy w BWA przy ul. Narutowicza, urządzonej dwa lata temu.

J. Berdyszak: — Trochę inaczej to wygląda. O wspomnianych

dobnych imprezach i mam do nich całkowitą nieufność. Chodzi o to, że dzieła nasze, wbrew wcześniej czynionym obietnicom przeróżnych organizatorów, nie trafiają w obszar społecznej egzystencji. Lublin zaszkodał mi propozycją natychmiastowej realizacji projektów, to zupełnie nowy element tego rodzaju spotkań! W pokrewnych imprezach krajowych i zagranicznych w najlepszym wypadku dochodziło do realizacji szczytkowych, częściej przecież kończyło się na pięknych sprawoz-



Ekspozycja w Osiedlowym Domu Kultury LSM

Fot. J. Trembecki

daniach czy fajnych, interesujących dokumentach.

I. J. Kamiński: — Wiem coś na ten temat, jako że brałem kiedyś udział w pracach krytyków, ustalających listę uczestników sympozjum „Wrocław 70”. Co w gruncie rzeczy pozostało po pięknych ideach, tam sformułowanych? Bodaj tylko praca magisterska „na temat”.

J. Berdyszak: — Właśnie. W Lublinie zetknęliśmy się z próbą stworzenia realnej szansy dla artystów. Jeśli chodzi o tryb pracy naszego, złożonego przecież pod wieloma względami zespołu: na wstępie uzgodniliśmy generalne wartości, określając fundamenty tego rodzaju działania. Ale w tych ramach znalazło się miejsce na koncepcje indywidualne.

I. J. Kamiński: — Łączyła was zgoda na ustaloną hierarchię problemów?

I. Berdyszak: — Tak. Jestem zachwycony Lublinem, jego położeniem, które jest honorowane przy wznoszeniu osiedli, jak nigdzie w kraju. Nie niweluje się pagórków, pofałdowania terenu, szanuje się to wyjątkowe bogactwo lokalne, jakim jest zieleni. I właśnie zielenią spróbowałem wyróżnić osiedle Sienkiewicza.

I. J. Kamiński: — W projekcie operujecie zielenią, oświetleniem, znakiem programującym komunikację. Czy zatem nie wyręczacie specjalistów innych branż?

J. Berdyszak: — Wartości humanistyczne we wszystkich specjalizacjach zostały tak zdeprawowane, tak zniszczone w imię tzw. cywilizacji, że ta cała problematyka została przerzucona na plecy artystów, niestety. Niestety, bo humanistami powinni być z obowiązku wszyscy, także księgowi, którzy decydują, na co i ile wydać pieniędzy. Swoją pracę traktuję tutaj jako obowiązek humanisty, a nie specjalisty.

B. Chromy: — Architektura przeżywa dziś kryzys, z czego zdają sobie sprawę projektanci osiedli LSM. Dlatego, bo o architekturze decydują księgowi. Jest to sytuacja fatalna, z której skutki odczuwamy na własnej skórze. Kiedyś budownictwo było funkcją indywidualnych potrzeb człowieka, obecnie wynika z uwarunkowań czasów wielkich zbiorowości.

I. J. Kamiński: — Takie stwierdzenie jest zapewne nieprzyzwoite, ale wydaje mi się że standardyzację i swoistą anonimowość współczesnego budownictwa mieszkaniowego „zawdzięczamy” po części koncepcjom rozpowszechnianym w okresie międzywojennym przez takich m. in. prominentów awangardy, jak Szczuka czy Strzebiński.

J. Berdyszak: — Ale życie zmienia się, dziś inaczej myślimy o tych sprawach, podczas gdy — taka jest jednak prawda — praktyka urbanistyczno-architektoniczna opiera się na tamtych ideach.

S. Papp: — Chciałbym wrócić do pierwszego pytania: czym dla nas są Lubelskie Spotkania Plastyczne? Osobiście widzę tę wielką i niesłychanie odważną imprezę jako poważny etap formowania się nowego rozumienia integracji plastyki i budownictwa.

I. J. Kamiński: —

S. Papp: —

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—



Fragment propozycji rzeźbiarskiej B. Chromego

niedawna postu-  
ci, owe miecze,  
e treści życia nie  
polizacji, nie ule-  
nie zanika proce-  
niez sama siebie  
składzie naszego  
nie kilku współ-  
agowskiej", pod-  
matykę kreacji  
mej-  
ki: — Chwili-  
ty się praktycz-  
owania i ogło-  
ntentu rzeczywisto-  
nia, dość szeroko  
propagowanego  
alną i literacką?  
Zadne, żadne,  
również okaza-  
pem w procesie  
nowej świadom-

ki: — To także

Jeżeli o na-  
i moza. Składa  
pochodzących z  
Poznania, Krako-  
nowca, ale naj-  
wani są artyści  
ch „Spotkania”  
święta, moral-  
sprawa. Nie-  
ono w Lublinie  
organizacyjnych,  
nam działanie,  
p. pełne wyko-  
potencjału myśl-



Propozycje rzeźbiarskie Bronisława Chromego.  
Fot. J. Trembecki

naszą imprezę, powiedziano nam, że nie mamy gadać, a robić. Zbulwersowało mnie to wezwanie, wynikające zapewne z przekonania, że w sferze teorii wszystko zostało już rozstrzygnięte i pora na konkretne działanie. Tymczasem w ramach zespołu doszliśmy do wniosku, że istnieje realna potrzeba intelektualnego przetwarzania przynajmniej problematyki osiedla, które nam zaproponowano... Przy okazji chciałbym wskazać na pewien element projektu Jana Berdyszaka, na owe skupiska kwadratów ziemi jeszcze niczyjej, o wymiarach 3 na 3 metry, które autor przeznaczył do „zagospodarowania” przez samych mieszkańców osiedla.

I. J. Kamiński: — Czy można tam postawić np. krasnoludka, albo wykopać dołek?

J. Berdyszak: — Oczywiście, co kto chce.

A. Kołodziejek: — Te swoliste „poletka Pana Boga” mogą, w minimalnym choćby stopniu, przyczynić się do identyfikacji mieszkańców z własnym osiedlem. To nie jest utopia. Przekonuje o tym historia pierwszego osiedla LSM, imienia Mickiewicza, gdzie mieszkańcy sami sadzili krzewy i kwiaty, zakładali trawniki — i do dziś bardzo szanują rezultat własnej pracy. Tak pięknej zieleni i takiej o nią troski nie ma nigdzie w Lublinie.

R. Lis: — W projekcie przewidywanie oddzielenie sfer rekreacji: dla dzieci i dla dorosłych. Przeraza mnie ten pomysł, następstwo lenistwa i nadmiernej wygody starszych ludzi.

J. Berdyszak: — Nie o to chodzi, respektowaliśmy tylko odmienność potrzeb psychofizycznych tak odmiennych generacji. O żadnym odgradzaniu nie ma mowy.

R. Lis: — Jestem zdania, że wszelkie „furtki” w środowisku ludzkim, jeśli już są, to powinny być maksymalnie szerokie.

Z. Kopeł-Szulc: — Dla mnie „Spotkania” są szansą dotknięcia nowych i pasjonujących problemów, okazją do dyskusji z ciekawymi ludźmi, powodem do własnych przemyśleń. Nawet, jeśli nie będzie mi dane powrócić do spraw tu rozważanych, kontakt z nimi wpłynie niewątpliwie na moją świadomość. Przypuszczam zresztą, że podobne korzyści odniesie ze „Spotkań” całe środowisko plastyczne Lublina, od dawna czekające na taką, ogólnopolską imprezę plastyczną. Korzyści dla samego miasta wydają się oczywiste, o ile oczywiście jakaś istotna liczba projektów doczeka się realizacji.

H. Szulc: — Jeśli dojdzie tylko do jednostkowych i szcątkowych realizacji — np. ścian szczytowych — choćby ze względu na możliwości techniczne, to zasadnicza idea „Spotkań” zostanie zaorzeaszezona.

I. J. Kamiński: — Rozumiem niepokój, weźmy jednak pod uwagę, że impreza taka odbywa się w Lublinie po raz pierwszy i nie wszyscy ludzie, którzy odpowiadają za jej organizację i pomyslność niejako techniczną do końca uświadamiają sobie, o jakie cele chodzi, jakie idee powinny być preferowane ze względu na ich głębokie, humanistyczne związki z rzeczywistością. Do optymizmu skłania przecież choćby fakt, że superarbitrem „Spotkań” jest profesor Jerzy Hryniewiecki, bardzo mocno zaangażowany w przedsięwzięcie. Perspektywa dalszego rozwoju imprezy także jest zachęcająca, albowiem, o czym mimochodem wspominałem, planuje się twórczą obecność artystyczną w pracach nad porządkowaniem i rozwijaniem przestrzeni kolejnych osiedli. Wznoszony właśnie „Czechów” stwarza artystom większe możliwości manewru. Jeśli zamierzenia te — których skomplikowanie jest proporcjonalne do wielkości — zostaną spełnione, nowa myśl plastyczna, nowa świadomość estetyczna i urbanistyczna będą miały dużo do zawdzięczenia Lublinowi.

Dziękuję za udział w dyskusji.

Henryk Kozak

## LIST

*Kiedy nagle budzę się nocą slysze  
strachy planujące w kątach zbrodnię  
i ścian drwiący chichot*

*wtedy podnoszę do góry ręce  
jakbym chciał powstrzymać  
opadający na mnie sufit*

*ale nic takiego nie nastąpi  
tu w czterech ścianach  
bezpieczny jestem  
i spokojny  
oswoilem strachy  
a sufitu strzegę  
grube stemple*

*nic tu już nie mam do roboty  
ślady przegranych walk czas zatarł  
godzinami więc wyleguję się  
z wierszami Piętaka pod głową  
telefonuję do przyjaciół  
przywołuję zapach jesiennych ognisk  
i świeżo zaoranej ziemi  
martwię się o los swoich dzieci  
zapełniam białe kartki  
niczym właściwie*

*jakże szczęśliwym nędzarzem jestem przyjacielu*



Rys. E. Ingłot

## W MIASTECZKU

*Dziewczyna zmarła o czwartej rano  
po południu powiesił się sąsiad  
żona uciekła  
nadeszło kilka donosów*

*Poeta wiersz napisał gdzieś wybuchła wojna  
urzędnik kupił nowy garnitur  
po ulicach milicjanci chodzą  
w miasteczku zbrodnia*

## SEN

*Snul mi się dziadek Konstanty  
przyjechał bryczką  
usiadł na schodach  
przyjechałem bo doszło do mnie  
że rozpowiadasz po wsi  
iż majątek przepilem  
to prawda  
lecz miej szacunek dla zmarłych*

*Gdy otworzyłem oczy  
po trawie toczyło się jabłko  
i był wieczór  
wiatr w stodole się chował  
a przed domem  
wsparty na kulach  
stał ojciec  
i płakał*

**JEDNA** z dość typowych spraw, jakie po rozpatrzeniu przez komisję rozjemczą trafiła do Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Lublinie. Z jednej strony kobieta w średnim wieku, matka dwojga dzieci i żona robotnika, która dochrapała się stanowiska w dziale planowania dużego przedsiębiorstwa — jej jedynymi argumentami wydają się być głębokie poczucie krzywdy oraz z trudem hamowane łzy. Z drugiej strony radca prawny, ze swobodą szermujący różnymi paragrafami i wyjątkami okólników.

Przedsiębiorstwo, a właściwie jego oddział w P., przeszło poważną reorganizację, wskutek czego niemal połowa etatów została zlikwidowana, w tym etat Zofii M. Decyzja o jej zwolnieniu zapadła na naradzie, w której brał udział przedstawiciel rady zakładowej. Pracownicy zaoferowano dwa czy trzy nowe miejsca pracy, jedno nawet finansowo lepsze, ale wymagające często 10—12 godzin pracy, co dla matki było nie do przyjęcia. Domaga się więc powrotu do poprzedniego przedsiębiorstwa z takimi samymi warunkami pracy i płacy.

Sąd, złożony z dwóch sędziów zawodowych i ławnika, interesuje się przede wszystkim jedną sprawą: czy przedsiębiorstwo zostało zlikwidowane, czy tylko nastąpiła reorganizacja. Radca prawny niechętnie przyznaje, że to była tylko reorganizacja.

W tej sytuacji sąd wyjaśnia, że w takim razie — nawet mimo likwidacji połowy etatów — nie mają zastosowania przepisy o zwalnianiu z pracy w przypadku likwidacji przedsiębiorstwa. I dalej, opierając się na obowiązującym wyjaśnieniu Sądu Najwyższego, że obecność przedstawiciela rady zakładowej na zebraniu, omawiającym sprawę reorganizacji, nie jest równoznaczna ze zgodą tejże rady zakładowej na zwolnienie konkretnego pracownika. Dyrekcja musi wystąpić do rady z pisemnym wnioskiem i uzasadnieniem, rada zaś musi także pisemnie wyrazić swoje zdanie. W konsekwencji sąd nakazuje przedsiębiorstwu ponowne przyjęcie do pracy Zofii M. na poprzednie warunki pracy.

Na kolejną rozprawę zjawia się tylko radca prawny — powód wniosł wprawdzie odwołanie od orzeczenia komisji rozjemczej, ale teraz nie zjawił się. Rozprawa jednak odbywa się normalnie.

W dużym zakładzie produkcyjnym w L. w dniu 24 grudnia rano dyrektor zwołał naradę kierowników i mistrzów nakazując m. in. dopilnowanie, aby w tym dniu nie pito alkoholu. Jednak mistrz Adam Z. nie przepuścił podwójnej okazji i potem z niejakim trudem unikał spotkania z dyrektorem, który nad wieczorem osobiście przeprowadzał inspekcję.

Sprawa picia wydała się, byli świadkowie, więc dyrektor podpisał natychmiastowe zwolnienie z pracy, a potem mistrzowi Z. nie przyznano trzynastki. Zwolnieniu sprzeciwiła się liście rada zakładowa i mistrza przeniesiono na magazyniera, zresztą z identycznym uposażeniem.

Mistrz przeniesienie przyjął bez specjalnego protestu, natomiast wystąpił do komisji rozjemczej o przyznanie trzynastki twierdząc, że pił pod czas pracy pierwszy i ostatni raz. Na podstawie regulaminu o dyscyplinie pracy komisja wniosek mistrza od-

rzuciła. Sąd także odwołanie odrzucił, a już prywatnie po rozprawie jeden z sędziów dodał, że wobec szerzącego się pijaństwa stanowisko dyrektora należy ocenić jako łagodne.

W Zakładzie Opieki Zdrowotnej w P. pracowało (i jeszcze w połowie pracuje) małżeństwo lekarskie R. Ona ma I stopień specjalizacji, on II. Na sporadycznie urządzone posiedzenia jednego ze specjalistycznych towarzystw lekarskich w Lublinie tradycyjnie otrzymywali delegacje służbowe, które jednak służyły tylko do udowodnienia obecności na posiedzeniach, natomiast nie pociągały za sobą zwrotu kosztów oraz diet. Obie strony to akceptowały do czasu, gdy w miesięczniku „Zdrowie” ukazało się wyjaśnienie, że wystawianie delegacji służbowych bez zwrotu kosztów i diet jest niedopuszczalne. Bo albo to jest wyjazd służbowy, albo nie.

Jeżdżono więc bez delegacji i wszystko było w porządku do czasu gdy małżonkom R. wydarzył się wypadek samochodowy. PZU wypłacił odszkodowanie za uszkodzenie samochodu, spowodowane przez osobę trzecią, ale potem stanęła sprawa renty, a więc rozstrzygnięcia, czy był to wyjazd służbowy czy prywatny.

Radca prawny ZOZ twierdził, że był to wyjazd prywatny. Lekarze, że wyjechali przecież za zgodą swego zakładu pracy i to w godzinach służbowych i że obecność ich na szkoleniowych posiedzeniach towarzystwa jest korzystna dla ich pracodawcy. Radca wyjaśniał, że ich obecność tam nie jest konieczna, lekarze, że członkami towarzystwa mogą być tylko ci, którzy posiadają specjalizację, jeżeli więc lekarzom w całej Polsce uniemożliwi się branie udziału w posiedzeniach, to towarzystwo należy rozwiązać.

Istotnie doszło tu do ciekawego sporu. Patrząc od strony formalnej, brak papierka delegacyjnego wyklucza możliwość zakwalifikowania wyjazdu jako podróży służbowej. Patrząc jednak od strony społecznej i zawodowej (lekarzy) — wyjazd jest pożyteczny i powinien być traktowany jako wyjazd służbowy, mimo że ZOZ ma ograniczone środki finansowe na delegacje.

W tej niejasnej, może nawet nieco sprzecznej sytuacji Okręgowy Sąd Pracy zwrócił się z odpowiednio sformułowanym zapytaniem prawnym do

wciąż niedostatecznej znajomości Kodeksu Pracy przez pracowników, albo o wciąż pokutującym u wielu z nas duchu pieniąctwa: „ja mu pokazałem”. „Mu” oznacza w tym przypadku przedsiębiorstwo państwowe, w ogóle pracodawcę. Ci ostatni też zbyt często odwołują się do sądu, uważając że lepiej mieć papierkę z wyrokiem sądu, niż podjąć samodzielną decyzję. Zwłaszcza, gdy ta decyzja musiałaby być po myśli pracownika.

Od wyroków Okręgowego Sądu Pracy już nie można się odwoływać, istnieje natomiast procedura rewizji nadzwyczajnej. Każda ze stron pracodawca lub pracownik, może wystąpić o nią z wnioskiem do ministra Sprawiedliwości, ministra Pracy, Płacy i Opieki Społecznej, I prezesa Sądu Najwyższego, generalnego prokuratora lub CRZZ — do wyboru. W roku ub. w całym kraju wpłynęło 2800 takich wniosków. Po ich dokładnym przestudiowaniu tylko 52 wnioski — a więc zaledwie 1,14 proc. — zostały skierowane do Sądu Najwyższego jako rewizje nadzwyczajne. Świadczy to o bardzo wysokiej prawidłowości orzeczeń sądów pracy.

Wcale pokaźna część odwołań od orzeczeń komisji rozjemczych do sądu w Lublinie jest wynikiem różnych braków formalnych w ich działalności, co potem znacznie utrudnia pracę sądu. Prezes Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Bolesław Grabski tak je ujmuje: Niedokładne formułowanie sentencji orzeczeń, rozpatrywanie spraw nie należących do tych komisji (np. dotyczących pracowników na stanowiskach kierowniczych), brak w przesłanych z odwołaniem aktach wszystkich dowodów i dokumentów które były przedmiotem rozpatrywania sprawy w komisji, nadsyłanie orzeczeń w kopiach (winny być oryginały), zbyt skrócone protokoły z posiedzeń (bez zainstalowania wniosków stron, zeznań świadków, wymienienia złożonych dokumentów itp.), czasem uwzględnienie jednego czy dwóch roszczeń — przy całkowitym milczeniu na temat pozostałych itd. W poszczególnych komisjach mankamenty te występują dość sporadycznie, w sumie jednak stanowią problemy, które potem wpływają na przeciąganie się spraw, na czym chyba nikomu nie zależy. A dodajmy, że komisji takich w naszych czterech województwach jest ponad 870.

Sądownictwo pracy w obecnej formie jest instytucją bardzo młodą, istnieje zaledwie piętnaście miesięcy. Poprzez różne szkolenia i spotkania zrobiono już bardzo wiele, aby upowszechnić zarówno zasady jego działania, jak również sam Kodeks Pracy i inne związane z nim przepisy. Wciąż jednak społeczna świadomość prawną jest jeszcze niewystarczająca. Osobiście myślę, że zbyt wielu ludzi uważa, że państwo jest tylko od dawania, zwłaszcza gdy z własnej winy wpadamy w różne kłopoty.

## SĄDY PRACY

Jerzy Dostatni

Sądu Najwyższego. Na odpowiedź trzeba będzie poczekać pewnie kilka tygodni, ale stanowisko, jakie zajmie SN, będzie obowiązujące w całym kraju.

Okręgowe Sądy Pracy i Ubezpieczeń Społecznych rozpoczęły działalność od 1 stycznia 1975 roku — równocześnie z wejściem w życie Kodeksu Pracy. Powstały one z przekształcenia jedenastu poprzednio działających Okręgowych Sądów Ubezpieczeń Społecznych, a sześć dalszych — w tym w Lublinie — zorganizowano od podstaw. Stanowią one instancję odwoławczą od orzeczeń zakładowych i terenowych komisji rozjemczych, terenowych komisji odwoławczych, orzeczeń organów rentowych, decyzji Zakładu Ubezpieczeń Społecznych oraz niektórych orzeczeń rady narodowej.

Wbrew przypuszczeniom okazuje się, że sporów na tym tle nie jest tak dużo. Na ponad 11 milionów osób zatrudnionych w gospodarce narodowej, w roku ubiegłym do sądów tego typu wpłynęło w całym kraju 54 580 spraw, z tego 14 789 to roszczenia pracowników, wynikające ze stosunku pracy, pozostałe dotyczyły świadczeń z tytułu ubezpieczenia społecznego i emerytalnego. Z województw białkopodlaskiego, chełmskiego, lubelskiego i zamojskiego wpłynęły do sądu w Lublinie 2344 sprawy, z czego około 27 proc. to roszczenia pracowników.

Jednak napływ nowych spraw stale się zwiększa. Prawie połowa ludzi nie jest zadowolona z orzeczeń terenowych komisji rozjemczych, co trzeci pracownik odwołuje się od orzeczeń zakładowych komisji rozjemczych ale już tylko co czternasty od orzeczeń terenowych komisji odwoławczych. Większość odwołań okazuje się bezzasadna, co świadczy o

## PLANOWANIE SPOŁECZNE

Tadeusz Preciszewski

**P**RZEDSTAWIAJĄC najważniejsze zmiany, jakie dokonały się w naszym systemie planowania w okresie pogrudniowym, wicepremier M. Jagielski wymienił na pierwszym miejscu powstanie i rozwój planowania społecznego („Gospodarka Planowa” nr 8/1974). Odpowiednie decyzje instytucjonalne — w postaci powołania Zespołu Planowania Społecznego w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów podjęte zostały w r. 1972.

Nie oznacza to, oczywiście, iż tematyka związana z tym terminem nie występowała u nas wcześniej, aczkolwiek bez nadawania jej tak dużego znaczenia, jak to się dzieje w latach ostatnich.

Kamena str. 10

Postępowe kierunki nauki ekonomii politycznej już od dawna wysuwały człowieka, w sensie pracy ludzkiej, do roli podstawowego czynnika wzrostu produkcji, traktując równolegle zaspokojenie potrzeb społeczeństwa jako ostateczny cel tejże produkcji. Potrzeba było jednak dość długiego czasu, aby te zasady teoretyczne i ideologiczne doczekały się właściwego ujęcia w kategoriach wymiernych i ilościowych oraz zaczęły wchodzić do praktyki planistycznej.

Pionierem przechodzenia do ujęć wymiernych i ilościowych był już w latach dwudziestych bieżącego stulecia prof. S. G. Strumilin w Związku Radzieckim. Jego dążeniem była próba oszacowania wpływu jakości pracy, czyli kwalifikacji, na przyrost dochodu narodowego, prowadząca do stwierdzenia, że tzw. inwestycje w człowieka bardziej są efektywne ekonomicznie niż równoległe nakłady na przyrost trwałych środków produkcyjnych. Dziś zdajemy sobie sprawę z wielu nadmiernych uproszczeń i fragmentaryczności jego obliczeń, niemniej pozostał on prekursorem w zakresie wskazania na produkcyjne również efekty nakładów, ponoszonych na szeroką sferę usług socjalno-kulturalnych.

Badania z tego zakresu podjęte zostały w sposób bardziej systematyczny po II wojnie światowej doprowadzając do nowego spojrzenia na rolę tzw. pozaprodukcyjnej sfery usług w rozwoju gospodarczym.

Pierwsza fala zainteresowań sferą społeczną gospodarki wyrosła z teorii wzrostu i planowania gospodarczego, najpierw w krajach rozwijających się, a później w rozwiniętych. Wyrażało się to w wykryciu i próbach sprecyzowania liczbowego, ilościowego tzw. sprzężenia zwrotnego, łączącego się z instrumentalnym, tj. również pośrednio-produkcyjnym oddziaływaniem sfery społecznej na wzrost gospodarczy. Fala ta wystąpi-

ła już w końcu lat czterdziestych i w ciągu lat pięćdziesiątych.

Doprowadziło to do nowego spojrzenia na sferę społeczną gospodarki, na usługi socjalno-kulturowe. Dostrzeżono mianowicie, że są one nie tylko konsumentem produktu narodowego, lecz również przyczyniają się do jego wytworzenia. Zjawisko to nazwano sprzężeniem zwrotnym i ono jest podstawową przyczyną nowego spojrzenia na tzw. sferę pozaprodukcyjną, czyli społeczną. Nazywa się je w literaturze instrumentalnym charakterem sfery społecznej — jako współtwórca efektów produkcyjnych, poprzez wzrost wydajności pracy zatrudnionych.

Bezpośrednie zainteresowanie się planowaniem sfery społecznej gospodarki, czyli właśnie planowaniem społecznym, wystąpiło na początku lat sześćdziesiątych. Wystąpiło ono tym razem raczej w krajach rozwiniętych — na tle odbywającego się stale procesu wzrostu wydatków na cele socjalne. Po prostu stwierdzono w pewnym momencie, że „król jest nagi”, tj. że współczesne kraje rozwinięte wydatkują tak znaczne i rosnące kwoty na cele socjalno-oświatowe, iż potrzebne jest opracowanie pewnego systemu, który całość tej działalności ująłby w jakiejś racjonalnej ramy. Oznaczało to, że praktyka wyprzedziła tu znacznie teorię, która musiała na pewnym etapie dokonać jak gdyby rozwoju skokowego w tym zakresie. Rozwój ten doprowadził do bliższego zainteresowania się rozwojem społecznym, a następnie próbami sterowania nim w postaci prognozowania i planowania społecznego.

Jak sprawy te wyglądały w krajach socjalistycznych?

Dokończenie na str. 12

# Co tydzień w niedzielę

Andrzej Luczeńczyk

**B**ĘDĘ jednak musiał trochę ostrzej nakazać babie, aby w niedzielę rano więcej zajmowała się dziećmi. Małe to jeszcze, za miesiąc rok dopiero skończy, to i od niego samego nie ma jeszcze co wymagać, żeby wszystko akuratnie rozumiało. Wiadomo, że za rok czy półtora będzie już można pasem zdrowo przyrznać i spokój i ciszę nakazać, ale teraz? Zabawianie jeszcze tylko, od czasu do czasu najwyżej, jak już nerwów nie stanie, klapsa ręką przyłożyć. Niech tam zresztą Maryśka robi co chce i jak chce, byłbym tylko spokojny miał w niedzielę rano i mógł się choć w jeden dzień trochę lepiej wyspać. Wierzyć się aż nie chce, że jeszcze dwa, trzy lata temu, póki się jeszcze nie ożeniłem, to dopiero w niedzielę rano do domu ściągałem, potem trochę zdrzemnął się, ale niedługo, żeby jeszcze przed południem wyszykować motor, potem zjeść obiad, ubrać się, wyjść na wieś, posiedzieć trochę w gospodzie, no a potem to już tylko gdzieś na zabawę. Bywało, że jak w poniedziałek wypadła pierwsza zmiana, to ledwie tylko przebrać się zdążyło i już trzeba było gnać do autobusu. A teraz? Wczoraj, weźmy na to, przyjechałem z fabryki o ósmej wieczorem, od razu trza było brać się za wieczorny obrządek, potem zjeść trochę kolacji i choć raz w tygodniu, przy sobocie, obejrzeć film w telewizji. Interesujące coś było, nie powiem, jakaś bójka, jakaś strzelanina, ale sam nie wiem kiedy usnąłem. Myślałem, że Maryśka opowie mi dzisiaj, jak się to wszystko skończyło, ale jej też nie chciało się czekać końca i poszła spać. No a dzisiaj niby niedziela; spałem do dziesiątej, teraz pójdę zajrzeć do Mietka, nawet nie będę się ubierał odświętnie, o tej porze ujdzie jeszcze po codziennemu, gdzieś o pierwszej wrócę do domu na obiad, a potem spać, nie odswlać zmęczenia, ale pospać parę godzin normalnie. Przed wieczorem wstane, znów obrządek i albo oglądam trochę telewizję, albo znów pójdę od razu spać. W poniedziałek mam trzecia zmianę, muszę wstać jak najwcześniej, żeby jak najwięcej w polu zrobić. Zabawy... Czasem jak we wsi jest zabawa, to pójdzie się tylko z wieczora, najwyżej do dziesiątej, albo i wcale się nie idzie, a żeby wypuszczać się na inną wieś — śmieszne po prostu. Nie, nie myślałem za kawalerki, że tak szybko spowaźnieję.

Mietka spotkałem za stodołą, w sadzie, właśnie przygotowywał się do golenia dziadka. Zapaliliśmy i usiedliśmy.

— Co, gazetę kupiłeś? — spojrział na mnie Mietek.

— Tak. Poczytam, może jakiś western w telewizji dają.

— Niepotrzebnie kupowałeś. Moja matka na pamięć wie, co przez cały tydzień każdego wieczoru dają. Ogląda wszystko co leci, aż do końca programu. Film to film, teatr to teatr, sport to sport, polityka to... Ej, dziadek! Co wam matka mówiła? Ze macie przyzwyczajając się pa-

lić papierosy w tej długiej lufce z trzciny!

— Kiedy w trzcinowej lufce to jakieś gorzkawe, Miciu...

— Gorzkawe... Pamiętacie, co Kryśka mówiła? Ze najlepiej byłoby, gdybyście palili fajkę własnej roboty, jak najbardziej niezdarnie zrobioną.

— Nie chcę fajki! Wolę już skręty...

— Skręty? — spojrział na Mietka.

— To Kryśka... Chciała, żeby dziadek dał się namówić na fajkę, albo na skręty. Ale jakie skręty! Bibułka cieniutka, amerykańska, tytoń też amerykański. Ale dziadek jak stary, tak uparty. Dopięły w końcu z matką tylko tyle, że dziadek będzie palił papierosy w trzcinowej lufce.



Fot. T. Borkowski

Przydeptał niedopalek i wstał.

— No, dziadku, zaczynamy. Otwórzcie gębę.

Dziadek otworzył szeroko gębę i Mietek, jak zawsze, zaczął drzeć wate i wpychać ją dziadkowi pod policzki. Kiedy policzki będą już jak małe dymie, zmarszczki wyglądają się i Mietkowi będzie lepiej golić.

— Nie mówilem ci chyba jeszcze — odezwał się Mietek — nasz dziadek idzie do miasta.

— ??

— A tak. Matka zresztą też. Na gospodarce zostaje ja z Hanką i ojciec. Widzisz, Kryśka urodziła dziecko i matka jedzie pomóc jej w odchowaniu.

— Na długo?

— Bo ja wiem... Może już i tam zostanie. I tak trzeba byłoby się później starymi podzielić, to podzielimy się teraz. Jej bardziej przyda się matka, bo to i przy-

dziecku i w domu posprząta, a mnie w gospodarce bardziej przyda się ojciec.

— No a dziadek? Po co on tam, do miasta?

— Jak Kryśka urodziła dziecko, to teraz już nie dziadek, ale pradziadek. Wiesz przecież, że nasza Kryśka wyuczyła się za inżyniera i za maż wydała się też za inżyniera, a właśnie ostatnio w miastach, między inżynierami, doktorami i innymi tam, takie pradziadki stali się bardzo modne. No, dziadku, skończone. Wyrzucicie wate.

Usiedliśmy z Mietkiem pod drzewem i zapaliliśmy. Dziadek chciał włożyć papierosa w kościaną cygarniczkę, ale Mietek powiedział tylko przeciągle: „dziadku...” i dziadek, mrużąc coś, wyciągnął zza pazuchy trzydziestocentymetrową moze lufkę z trzciny.

— Przystawiliście już trochę swoją pamięć, dziadku? — zapytał Mietek i uśmiechnął się. — Bo widzisz — powiedział do mnie — dziadek pamięta co innego, a Kryśka chce, żeby wspominał co innego. Na ten przykład, dziadka wzięli na pierwszą wojnę, zaraz potem trafił do niewoli i ciągle wspomina, czego to on w tej niewoli nie widział...

— A pewnie — odezwał się dziadek — dużo widziałem. Oj, dużo... Rosły tam tylko albo winogrona, albo herbatka. Ty nawet nie próbowałeś winogron, a jak pachną pola z herbatką...

— No i widzisz — rozłożył ręce Mietek. — W kółko to samo. Dziadku, przecież Kryśka mówiła, że nic wam nie mogło pachnieć, bo byliście w niewoli i tylko tęskniliście za wolnością. Ale nie, dotrze do was Kryśka, dotrze. A z drugą wojną jak stoicie? Przypomnieliście już sobie, że byliście i w partyzantce i na froncie?

Dziadek nie odpowiedział.

— A był? — zapytałem.

— Kryśka chce, żeby był. Stasiu — zwrócił się do mnie — co to za sprawa z tymi skierowaniami na wczasy? Wszyscy wczoraj o tym w fabryce mówili, ale nie wiem dokładnie, o co chodzi.

się zmieniły i że my też musimy się zmienić, i to we wszystkim. Jeśli chodzi, dajmy na to, o witanie się czy żegnanie, to żadnego tam podawania sobie rąk czy zdejmowania czapek. Przy schodzeniu się i rozchodzeniu obaj podnoszą do góry zaciśnięte prawe pięści. Przez jakiś czas po tym zebraniu to trochę głupio ludziom było, kiedy tak mijali się i jeden tylko patrzył na drugiego, ale później samo jakoś wróciło do normy.

— Dziadku! — klepnął się w kolano Mietek. — Będzie dziadek musiał opowiedzieć to Kryśce. Ona rozsądzi, czy będzie dziadek o tym wspominał. Kryśka mówiła — ściszył głos Mietek i nachylił się do mnie — że ostatnio podobno nawet sama władza po cichu zaleca, żeby z niej umiarkowanie żartowano...

Razem chodziliśmy z Mietkiem do szkoły, razem kupiliśmy sobie motocykl, razem jeździliśmy do dziewczyn, nie tylko jednego roku, ale i jednego miesiąca ożenił się, razem dojeżdżaliśmy do tej samej fabryki, to i odwiedzaliśmy się każdej niedzielą, raz ja chodzę do niego, raz on przychodził do mnie.

Weszliśmy do domu. Matka Mietka gotowała obiad, a ojciec leżał w ubraniu na kozetce, ręce założył pod głowę i patrzył gdzieś za okno.

— Dzień dobry — powiedziałem i przywitałem się z ojcem. Ten usiadł, ziewnął i przeciągnął się.

— Witam Stasia, witam — odezwała się matka. — Proszę — wskazała mi krzesło. — Kawy czy herbaty?

— Co?

— Napijesz się kawy, czy herbaty?

— Nie... Nic nie chcę. Gorąco...

— No to co? Ale kawy czy herbaty powinieneś się napić.

— Nie... Nie chcę.

— Jak uważasz — burknęła i pochylila się nad garnkami, ale zaraz znów odwróciła się i uśmiechnęła się do mnie, jakoś tak dziwnie, jakoby przymusem nie otwierając ust.

— Oglądałeś wczoraj, Stasiu, wiadomości sportowe? Ten piłkarz Mueller jest maly, niezgrabny, ma krzywe nogi, a słynny jest na całym świecie i nawet pokazują go w telewizji. Co ty na to?

— Hm...

— Jak sam maly, to musiał dobrze w ogon urosnąć — powiedział ojciec Mietka, oglądając palce u nog.

Matka chciała się roześmiać, ale zaraz ściągnęła usta, przymknęła oczy i prawie jęknęła jakimś takim bardzo, bardzo zmęczonym głosem.

— Stefan... Jak ty wszystko... U ciebie to zawsze tylko seks.

— Chwalilaś sobie ten seks, chwaliłaś... mruknął ojciec, ziewnął i poczęstował nas papierosami. Do izby wszedł dziadek, rozejrzął się i usiadł na ławce pod piecem, ale matka popatrzyła na niego i dziadek wstał i usiadł na krześle; matka Mietka znów popatrzyła na niego i dziadek ostrożnie rozsiadł się na krześle niby w jakimś fotelu i rękami starał się oblać kolana.

— Znow się gdzieś biją — powiedział ojciec — Tylko nie dosłyszałem kto i gdzie.

— Na wojnie najgorsze jest okrzyki — odezwał się dziadek. — Pamiętam, jak okrzyki nas pod...

— Ojciec! — krzyknęła matka i rozejrzała się, jakby czymś przestraszona i zamrugnęła oczami, ale zaraz też udało się jej uśmiechnąć, podeszła do dziadka, poklepała go po ramieniu i powiedziała:

— Tatusiu, a opowiedz nam, jak to sam jeden zmusiłeś ciekawem do odwrotu cały pułk...

Spojrzałem na budzik. Było już wpół do pierwszej, wstałem i pożegnałem się.

— Pozdrów ode mnie swoją mamę — powiedziała matka Mietka, cała w uśmiechach.

Mietek wyszedł za mną na dwór i odprowadził mnie do furtki.

— Coś mi się zdaje — powiedziałem — że twój stary nie jest bardzo zadowolony z tego, że rozłączy się z babą.

— Nie jest on jeszcze taki stary, a i ona też jeszcze do rzeczy. Matka będzie przecież od czasu do czasu przyjeżdżać po walówki, to i przy okazji...

Wszedłem na droge i wolno poszedłem do domu. Za tydzień, w niedzielę, Mietek przyjdzie do mnie.

## NOTATKI Z ALBIONU (IV)

**W**ANKOWICZ pisał w „Tworzywie” o polskich emigrantach w Kanadzie. Pisał szeroko i pięknie o tym, jak wyrwali obcej ziemi plony, jak budowali nowe życie i jak tęsknili do starego kraju, albo obojętności na jego sprawę. Pisał o Bartkach i Maciejach, których gonili z „Ojczyzny-Macochy” niedza na przednówku, księżę i dziedzicowskie panowanie, lub harda gleba, której nie było czym obrabiać. Ciągnęli tak już od złych carsko-prusko-galicyskich czasów, za „wielką wodę”, na nowe, do obiecanej ziemi. Różnie im bywało, ale najczęściej źle. Zostały wspomnienia słomianych strzech, błotnistych dróg i niedostatku. Dzisiaj sami, lub ich wnuki, jeżdżą do starej Ojczyzny „w gości”. Latają wielkimi samolotami, niosąc w pamięci tamten mglisty obraz i gdy lądują uderza w ich dumę fakt, jak bardzo kraj się odmienił. Kochają go bez udręki i żalu. Coraz częściej spędzają tu urlopy. Wiozą z powrotem z pietyzmem ten nowy obraz. Taka jest w większości Polonia północno-amerykańska. Jej tron stanowi emigracja zarobkowa, daleka od politycznych pasji i żalów.

Nie na miarę mojego talentu i mojej życiowej wiedzy synteza emigracyjna. Więc chciałbym tylko szkic, urywki tego, co zasłyszałem, urywki tego, co odczułem i to o tych tysiącach, bo na „tamtej” polityce się nie znam.

Ilu jest Polaków w Wielkiej Brytanii? Szacunki wahają się od stu do

stu pięćdziesięciu tysięcy. W samym Londynie mieszka ich około czterdziestu tysięcy. Skupiają się głównie na Ealingu i w północnych dzielnicach miasta. Choć polskie siły zbrojne na Zachodzie liczyły około dwustu pięćdziesięciu tysięcy osób, po ustaniu wojennych działań rozpoczęła się repatriacja, powrót ochotników do kraju, wyjazdy do innych państw w pogoni za szczęściem. Ci co zostali jednak, to w życiu angielskim duża siła. To najbardziej zorganizowana bodaj obca społeczność mieszkająca na Wyspie. Mają swoje kluby i kawiarnie, piekarnie i sklepy, biblioteki i szkoły. Zdecydowana ich większość odciała się od politycznych gier i ciężko pracuje na swoją egzystencję w różnych zawodach. A nie było im łatwo od samego początku. Bez znajomości języka, stosunków w nowym kraju, jego praw i zasad życia, stawali do walki o wypracowanie nowego startu prawie bez szans. Towarzyszyła im polska zawziętość i hart zdobyty w latach tułaczki, walki i tęsknoty.

Mają swoje kluby i restauracje, piekarnie i sklepy, mają swoją małą Polskę. A jednak to mało.

W małej kawiarence niedaleko stacji Victoria przypadkowo spotkałem człowieka, który o Polsce wiedział dużo, a o „angielskich” Polakach niewiele. Był nauczycielem w prywatnej szkole średniej w Londynie, którego zawód zetknął, już od wczesnych lat powojennych, z dziećmi Polaków i nimi samymi. Z pamięci wylicza daty z naszej historii. W najbliższym czasie wybiera się do Warszawy, by poznać, jak twierdzi, „największy naród Europy”. Uśmiecham się. W ustach Anglika takie słowa brzmią niemal jak drwina. Znana sentencja, że jeden Anglik wart jest tyle, co trzech cudzoziemców, do dziś tkwi mocno w powszechnej świadomości tego kraju. Znajomość polskich spraw przez przeciętnego miesz-

kańca Wielkiej Brytanii jest żenująco słaba. Nie wiedzą gdzie leży ta Polska, a wielu skłonnych było szukać jej na mapie Azji, czy nawet Afryki. Nie przesadzam. Na pociechę zauważam, że nie znają też dorobku kulturalnego Francji czy Niemiec. Wiekowa izolacja i zapatrzenie w siebie, do których tak często wracam w tych moich „notatkach”.

przy każdej większej ulicy. Tylko na ścianach Matejko i Kossak, oprawni w ciężkie, solidne ramy. „Tutaj pisze się o tym, co było. Roztrząsają na nowo to, co mogłoby być, gdyby... Wracają do swoich błędów i potknięć. Odrzucają dawne sprawy, a mnie przypomina to grę na szachownicy, której naprawdę już nie ma, pionkami, które też latnieją tylko w wyobraźni”.

## O POLONUSACH

Wiesław Horabik

„Od lat uczę polskie dzieci” mówi mój rozmówca. „Regularnie już należą do najlepszych uczniów w szkole. Podziwiam was, bo niewiele narodów świata historia potraktowała tak gorzko i boleśnie. A jednak podziwiam wasz hart ducha i siłę przetrwania i podziwiam wysiłek tych rodziców, którzy chcą, by ich dzieci miały lepsze życie, niż oni sami”.

„Należą regularnie do najlepszych uczniów w szkole”. Zapamiętuję te słowa z dumą.

Na polskie szyldy natknąć się w Londynie nie trudno. W ciepły, sierpniowy dzień odbywam spacer z rozprężonego miasta nad Tamizę. Szukam cienia i chłodu. Idę tasiełcową ulicą, która zdaje się nie mieć końca. Mijam rzędy wąskich kamienic i ogrodzenia soczysto-zielonych skwerów.

„Nikt o nas nie napisał. Tu w Londynie nikt nie napisał o nas prawdy” — mówi mi pan Andrzej W., właściciel skromnej knajpki w centrum miasta. Mały snack-bar, jakich w mieście setki

Siedzimy przy stoliku, a córka właściciela krząta się za kontuarem. Czasami wchodzi tu robotnicy z pobliskiej budowy na stek, frytki i butelkę zimnej coca-coli. Za szybą mam tę wielką ulicę, rozdygotaną w upalne popołudnie, pełną spalin i kurzu, łączącą centrum miasta z południową dzielnicą Chelsea. Chłodno tu w środku i wygodnie. Ciężkie ramy obrazów łączy harmonizują z pop-artowską ścianą.

„Przeszedłem kawał świata. Afrykę i Bliski Wschód, Włochy i Francję, zanim utknąłem tutaj. Po demobilizacji było ciężko. Upychali nas jakoś, ale najbardziej liczył się indywidualny spryt i zaradność życiowa. Zaczynałem jako pomocnik kucharza we włoskiej knajpie. Miałem trochę pieniędzy, bo Anglicy płacili żółd regularnie i trzeba im to przyznać, a wydawać nie było gdzie i na co. Trzymałem to jednak na czarnej godzinie. Ten początek to był koszmar. Pracowałem od świtu do nocy,

## PLANOWANIE SPOŁECZNE

Dokończenie ze str. 10

Do praktyki planistycznej podstawowe decyzje społeczne i socjalne wchodziły, oczywiście, od samego początku istnienia gospodarki planowej — w ramach ogólnego systemu planowania i polityki gospodarczej. Jako odrębna gałąź — teoretyczna i systemowa — ogólnego mechanizmu kierowania gospodarką, planowanie społeczne zjawiało się dopiero na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Bezpośrednie podjęcie tematyki wyodrębnionego planowania społecznego nastąpiło po raz pierwszy w Związku Radzieckim w końcowych latach sześćdziesiątych. Odwrotnie niż w rozwiniętych krajach kapitalistycznych, w których większą rolę odgrywały dyskusje i koncepcje teoretyczne, nie mające realnego odbicia w istniejącej praktyce, w ZSRR punktem wyjścia były konkretne propozycje, zgłoszone na XXIII Zjeździe KPZR przez delegację leningradzkiej organizacji partyjnej. W wyniku tej propozycji szereg zakładów produkcyjnych podjęło eksperymentalne prace zmierzające do opracowania i realizacji planów społecznego (socjalnego) rozwoju zakładów przedsiębiorstw. Dotyczyło to tak zakładów na terenie Leningradu, jak Permu, Moskwy, Lwowa, Homla, Mińska i innych. Kolejnymi etapami na drodze upowszechnienia tego systemu była uchwała Prezydium Wszechzwiązkowej CRZZ z lipca 1968 r., zalecająca podejmowanie inicjatywy zakładów przedsiębiorstw leningradzkich przez inne zakłady oraz wydanie w latach 1969—1970 kilku opracowań, dotyczących metodyki tego planowania.

Planowanie tego rodzaju rozwinęło się szybko w okresie pięcioletni 1971—1975, obejmując stopniowo ponad 30 tys. zakładów pracy. Jego cechą charakterystyczną jest łączenie świadczeń socjalnych dla załogi z dążeniem do zwiększenia jej inicjatywy, wychowaniem społeczno-politycznym oraz wzbogacaniem osobowości każdego członka kolektywu pracowniczego. Mimo więc skromnej nazwy — planowania socjalnego — mamy tu od razu do czynienia z właściwym planowaniem społecznym, dbającym nie tylko o poprawę warunków socjalno-bytowych, ale także o rozwój duchowy, kulturalno-etyczny człowieka pracy.

Drugą cechą charakterystyczną dyskusji na ten temat w ZSRR jest uznawanie planowania socjalnego rozwoju załóg pracowniczych za etap przejściowy w budowie pełnego systemu planowania

społecznego. W systemie tym, wymagającym dalszego rozwoju sił wytwórczych i ogólnego poziomu rozwoju ekonomicznego kraju, podstawowym ogniwem stałyby się osiedla mieszkaniowe, co dopiero zagwarantowałoby pełną powszechność planowania społecznego, obejmującego wszystkich członków socjalistycznego społeczeństwa.

W Polsce określenie „planowania społecznego” posługujemy się w sensie formalnym dopiero od początku 1972 roku, tj. od momentu utworzenia wspomnianego Zespołu (Departamentu) w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Równoległe prace zostały podjęte w Ministerstwie Pracy, Plac i Spraw Socjalnych, określone planowaniem socjalnym. Ich punktem wyjścia było opracowanie programów socjalnych wielkich zakładów pracy, do czego zobowiązało je odpowiednie polecenie KPRM z lipca 1972 roku. Programy te miały za zadanie poprawę warunków mieszkaniowych i socjalnych w latach 1972—1975. Ich zakres stopniowo rozszerzał się na wszystkie zakłady, do czego walczyły przyczyniły się dwa posunięcia:

a) utworzenie powszechnego systemu funduszy zakładowych — nagród, mieszkaniowego i socjalnego — począwszy od 1 stycznia 1974 roku, oraz b) powołanie z dniem 1 marca 1974 służb pracowniczych w zakładach pracy.

W ostatnich latach prace nad rozwojem planowania społecznego i socjalnego w PRL bardzo się rozszerzają, m. in. w postaci zestawienia szeregu prognoz społecznych oraz opracowywania tzw. programów problemowych (z programem budownictwa mieszkaniowego na czele). W pracach tych żywy udział bierze również Zakład Planowania i Polityki Gospodarczej Wydziału Ekonomicznego UMCS. Zakład przygotowuje kadre do uruchomienia od jesieni 1976 r. nowej specjalizacji ekonomiczno-socjalnej oraz prowadzi prace badawcze dotyczące teorii i metodyki planowania gospodarczego.

Z naszych dotychczasowych badań wynika, że poszczególne działy usług niematerialnych, jak budownictwo mieszkaniowe, oświata, zdrowie czy kultura, mogą się poszczycić niewątpliwie wielkim dorobkiem badawczo-metodologicznym, w tym zwłaszcza opracowaniem interesujących prognoz ich długofalowego rozwoju.

Niemniej z opracowań tych nie wynikają żadne konkretne wnioski — dla ogólnokrajowej polityki i planowania społeczno-gospodarczego — w rozumieniu ustalenia w czasie jakichś priorytetów międzybranżowych, jako przesłanek dla zestawienia planów perspektywicznych i pięcioletnich.

Naszym zdaniem prace, zmierzające do budowania rozwiniętej teorii planowania społecznego, powinny mieć zakres o wiele szerszy, niż dotychczas. Pierwszym etapem powinno być śledzenie doświadczeń zagranicznych i organizacji międzynarodowych, ze szczególnym uwzględnieniem krajów socjalistycznych i organów Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Z doświadczeń zachodnich na uwagę zasługują raczej tylko pewne sprawy szczegółowe, głównie o charakterze techniczno-instrumentalnym, z systemem mierników i wskaźników na czele.

Drugi etap badań powinien dążyć do wykrycia powiązań międzybranżowych, tak o charakterze

komplementarnym jak substytucyjnym. Dotychczas mamy o wiele lepsze pojęcie o powiązaniach typu komplementarnego, np. między budową osiedli mieszkaniowych, a niezbędnym „narzędziem” nakładów na infrastrukturę techniczno-komunalną oraz socjalno-kulturalną. Znacznie gorzej przedstawia się sprawa o powiązaniach typu substytucyjnego, np. relacją między budową mieszkań a rozwojem motoryzacji indywidualnej oraz budownictwa szpitalnego.

Na obydwu powyższych podstawach — mierników i powiązań międzybranżowych — można by dojść do realizacji trzeciego etapu rozwoju planowania społecznego w postaci wytyczenia priorytetów ogólnokrajowych — na okres danego planu 5-letniego czy programu perspektywicznego.

Czwarty etap należałoby związać z podjęciem kompleksowych prac typu rachunkowo-finansowego. Dotyczyłyby one rozwiniętego rachunku kosztów świadczenia usług niematerialnych z jednej strony, a z drugiej — systemu funkcjonowania odpowiednich jednostek świadczących te usługi (jako przedsiębiorstw na rozrachunku gospodarczym, bądź zakładów czy też jednostek budżetowych).

Kluczowe znaczenie posiada tu określenie roli zakładów pracy jako podmiotów planowania i polityki społecznej, w porównaniu z instytucjami wyspecjalizowanymi (jak Fundusz Wczasów Pracowniczych czy odpowiednie agendy Ministerstwa Kultury i Sztuki lub GKKFiT) oraz radami narodowymi i jednostkami osiedlowymi. Niewątpliwie znaczna aktualnie rola zakładów pracy w tym zakresie związana jest z występującymi jeszcze stale niedoborami urzędów i środków finansowych oraz koniecznością eksponowania instrumentalnej roli planowania społecznego jako narzędzia zwiększania wydajności pracy. W perspektywie jednak rosnąć powinna rola tak instytucji wyspecjalizowanych, jak organów terenowych, co wynika z dwu przesłanek jednocześnie: a) wzmocnienia roli autonomicznej funkcji planowania społecznego — jako celu ogólnego rozwoju społeczno-gospodarczego b) większej na ogół efektywności działania instytucji wyspecjalizowanych niż komórek zakładowych, nie dysponujących dostatecznie kwalifikowaną kadrami fachowców, świadczących odpowiednie usługi.

Ta ostatnia sprawa łączy się z kontynuacją dawno już prowadzonych prac nad zasadami odpłatności za odpowiednie usługi (ze środków indywidualnych lub społecznych).

Nie próbując wymienić wszystkich pozostałych etapów prac nad zbudowaniem całości podsystemu planowania społecznego, jako wyodrębnionej części integralnego planowania społeczno-gospodarczego — artykuł niniejszy autor chciałby zakończyć postulatem, który w tym wszystkim wydaje się być najważniejszy, mianowicie koniecznością podjęcia kompleksowego programu badań z tego zakresu.

Poza wyspecjalizowanymi placówkami uczelnymi wyższych oraz instytucji naukowo-badawczych ważną rolę odegrać tu mogą stowarzyszenia społeczno-naukowe, jak Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Polskie Towarzystwo Socjologiczne, Towarzystwo Wolnej Wszechnicy Polskiej i inne, łącznie z regionalnymi towarzystwami naukowymi.

Tadeusz Preciszewski

bez przerwy. Świat na zewnątrz widziałem tylko w weekendy. Właściwie byłem w tej knajpce all jobs'man — człowiek do wszystkiego. Włoch nie płacił mi źle, ale najgorsze było traktowanie, sama świadomość, że jest się niczym, zwykłym popychadłem i że tak daleko od swoich Pan nie może tego znać, ale życie wśród obcych, jeszcze do tego samotnie, to nie do zniesienia. Jak ja pamiętam te wczesne lata Pewnie, że jest nas tu dużo, ale każdy ma własne sprawy, własne troski i własną tęsknotę, że i pomocy nie starcza dla innych. Włocha opuściłem, kiedy uskla-dalem już trochę pieniędzy. Koledzy pomogli i kupiłem tę kawiarenkę".

Córka pana W nie mówi po polsku. Wie dużo o kraju, ale języka nie zna. Na popołudniowych kursach kończy szkołę. Na razie jest tu potrzebna, ale nie chciałaby zostać w tej knajpce na stałe. Ma swoje plany i ambicje.

"To delikatne pytanie i proszę mi wybaczyć, że je zadam, ale dlaczego pan nie wrócił? Niektórzy tak robili".

"Pochodzę spod Kielc. Ojciec był nauczycielem w wiejskiej szkole i nie było nam jeszcze tak źle. Wojna wszystko zmieniła. Pokruszyła te nasze nadzieje, zanim jeszcze zacząłem przeciskać się w życie. Na początku nie było po co wracać. Tu o kraju pisali wtedy bardzo źle i bałem się. I tak nie został mi nikt z najbliższych. To jasne, że każdy ma w końcu jakąś daleką rodzinę, ale co to za oparcie i gdzie było ich szukać? Wojna, potargala nas na kawałki i rozrzuciła po świecie. Potem zaczęły się spłaty, ale dochody miałem dobre. Ożeniłem się późno z Angielką i wtedy było źle. Zawsze jakoś źle z kimś, chociaż tego najgorszego nie mogła zrozumieć. Nawet nie mogłem z nią o tym mówić. Ona była u siebie, ja byłem u obcych. Tę miłość trzeba było jakoś dzielić".

"Powinien się pan wybrać" mówię. "Zobaczyć samemu stare miejsca. Może to pomaga".

"Widzi pan, później to się komplikuje. Człowiek musi wrosnąć w nowe życie, ale wyrwać się nie może. Rodzą się nowe zobowiązania. W moim wieku zaczynać od nowa byłoby ciężko. Córcie byłoby jeszcze trudniej. I tak człowiek zostanie. To najgorsze zostanie do samego końca. Ale kiedyś się wybiore".

Zatrzymują mnie na kolacji, kiedy zrobi się już wieczór. Gospodarz jest po polsku serdeczny i gościnny. Nie brak mu kontaktów z rodakami, bo od lat sam ich szuka, ale odnosi wrażenie, że ja jestem jego szczególnym gościem, bo przyjechałem prosto „stamtąd".

Kiedy idę do stacji metra myślę o zwykłym życiu. Los, pewnie jak tysiące innych, ale taki dziwny los. I ta narracja taka poszarpana i rwąca się. Zwykle polskie życie. Może nawet nie bardzo ciekawe, chociaż co tam się przeżywało na piaskach Afryki, pod Monte Cassino, na Bliskim Wschodzie, we wszystkich tych dalekich krajach na krawędzi świata tylko oni. Wybrałem to życie, bo brzmi tak po naszemu. Katastrofa i zakasane do odbudowy rękawy. Wybrałem to życie, bo chociaż jest takie zwyczajne i nasze ciągnie się daleko od swoich i w każdym słowie, które usłyszałem ciągnie się z tęsknotą, której wymazać nie nie może.

Mają swoje kluby i restauracje, piekarnie i sklepy, mają swoją małą Polskę. A jednak to mało.

Wielu chce wracać, choć odkładają to latami. Wielu przyjeżdża i zostaje. Rozszerza się obiektywna wiedza o sytuacji w kraju Dawne sprawy umierają historyczną koleją rzeczy. Zostają tylko lata zmarnowane nie na swojej ziemi. Zostaje tylko niecierpliwe odgrzebywanie wspomnień. Dlatego zawsze warto zatrzymać się przed polskim sztydem, bo Anglia dla nas Słowian zawsze to sztywny i obcy kraj, bo dla każdego narodu obca ziemia zawsze to chłód i osamotnienie, bo wreszcie ludzki los niejedną zna błąd.

## LEKTURY

### NOWY DAWNY PARANDOWSKI

**O**STATNIA książka Parandowskiego „Refleksje” właściwie jest tym samym co przedostatnia, to znaczy „Pod zamkniętymi drzwiami czasu”, jak np. dalszym ciągiem „Fantomów” jest „Natura” Marii Kuncewiczowej. To dla czytelnika ujmujące zjawisko — to przedłużenie tematyki i rodzaju stylistycznego na następną książkę. Oznacza utrafienie w nerw pasjonującej pisarza problematyki, domagającej się owego „jeszcze”, skoro poprzednie było udane. Parandowski jest najciekawszy w tych właśnie refleksjach, zapiskach, okrucinach pozostających poza wyraźną klasyfikacją gatunków literackich.

Są czytelnicy, którzy nie pasjonują się jego „Niebem w płomieniach” i „Dyskiem olimpijskim” natomiast zdecydowaną wierność zachowują dla „Dwóch wiosen”, „Godziny śródziemnomorskiej” i „Zegara słonecznego” by już nie wspomnieć o „Alchemii słowa”, która z pewnością pozostanie najważniejszym wśród dzieł tego pisarza. Co jest jednak „Refleksji” bogactwem, jest i ich niewystarczalnością: nieustanna obecność przykładów historycznych w doznaniach nawet prywatnych autora. Parandowski myśli, czuje, przeżywa Cyce-ronem, Horacym, Proustem.

Czytelnik ma pożytek, bo się dowiady- duje np. „ze Gide odrzucił rękopis „W poszukiwaniu straconego czasu” w redakcji „Nouvelle Revue Francaise”, ale ciągnie ingerencja archetypów kulturo- wych w sferę osobistą nie sprzyja tej intelektualnej konfesji, na jaką chciał- by być przygotowany. Ale przy tym co za hipertrofia taktu! Nie jest żadną manierą bon-tonu, kiedy Parandowski stawia siebie jako drugą osobę, niejaki medium pisarza, z którym go zet- knęły okoliczności życiowe, a czyni to zawsze. Nie wykorzystuje żadnej o- kazji do zaprezentowania siebie „skromnie”, w domyślnej aurze zna- czenia.

Ale to już nie o książce. Książka wprowadza nas w ten „parandowski” świat humanizmu który autor konsek- wentnie przeciwstawia nadchodzącemu wiekowi techniki, choć technię nie ukrywa, że i jej zawdzięcza jedno z największych wzruszeń, kiedy Am- strong i Aldrin sięgnęli po księżyc. (Je- den tylko szczegółik zasiewa niejaka

wątpliwość. W „Refleksjach” jest po- wiedziane, że Bruno Winawer zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w roku 1944. Często przytacza się podo- dzonko Winawera, który przeprosił, że z niego nie będzie dobrego mydła, a eksterminacja Żydów w tym roku była raczej czymś sporadycznym.

Jan Parandowski: „Refleksje”. Ossoli- neum, 1975, str. 163, cena 18 zł.

### PODWOJNA POWIEŚĆ

**P**RZYZWYCZAJENI jesteśmy do Putramenta wojennego, party- zantkiego, buszującego w jeziorach, a teraz mamy Putramenta dyplomatycznego. „Akropol” reweluje realia zdobyte przez autora w czasie jego pobytu w Grecji jako członka międ- zynarodowej komisji lat czterdzie- stych. Sytuacja: jest koniec lat czter- dziesiątych rząd grecki oskarża Albanę i Bułgarię o organizowanie na swym terenie lewicowego podziemia (Elam), ONZ wysłała tam swoje przedstawiciel- stwo celem zbadania sprawy. Posie- dzenia, przesłuchania, hotele, coctails, trochę flirtu, trochę greckiej staroży- ności. Dotąd wszystko w porządku. Po- wieść — reportaż operujący materia- lem bezpośrednich doświadczeń autora. Dalej jest też w porządku, tylko w por- ządku oddzielnie. Bo dalej są pery- petie powstańców, a więc partia nar- racji dość niespójna z poprzednią, która dotyczy okoliczności hotelowo-dypl- omatycznych. I nawet czas powieści za- czynającej się niemal jak dziennik musi ulec rozformowaniu. I punkt wi- dzenia inny bo poprzednio wystarczy- ło nastawienia aparatu obserwacji na otoczenie, a później nie mogło się obyć bez informacji zdobytych z in- nych źródeł bez analiz i dociekań psychologicznych. W końcu czy- telnik jest trochę niezorientowa- ny. Czy jest to coś w rodzaju upowieściowanego wspomnienia, czy studium wykuszania się rewolucyjnego ruchu pod faszystowskim terrorem? Tylko nie sądzimy, że rzecz jest nieu- dana. Z wyjątkiem „Puszczy” Putra- ment nie napisał powieści klepskiej. Tyle tylko, że i tak obszerny mate- rial „Akropolu” sposobnie znalazł się w czterech okładkach. Zresztą czytelnik sekcję dwu organizmów przeprowadza sobie we własnym za- kresie nawet kiedy je autor przed- stawia łącznie.

Wydawcy warto wytknąć parę błę- dów. Np. na str. 263 mamy „temu dniu” zamiast „temu dniowi”, na str. 340 „pa- stusich” zamiast „pastuszych” na str. 350 „postało” zamiast „powstało” jak wynika z sytuacji i kontekstu.

Jerzy Putrament: „Akropol”. Czytelnik, 1975, str. 411, cena 35 zł.

Zygmunt Mikulski



Rys. A. Chodorowski

### BARAN 21 III—18 IV

Teraz możesz optymistycz- niej patrzeć w przyszłość. Nowa znajomość rozwija się, znajdujesz wiele zadowole- nia, ale nie zapominaj, że to jeszcze nie „to”. Nie wolno ci jednak zaniedbywać się w pracy czy w nauce. Wiosna wiosną, ale gdy zaczyna ocie- niać twoja postawa nie bez- dzisz mógł (a) się tłumaczyć porą roku.

### BYK 19 IV—20 V

I dla „byków” nadszedł pomyślniejszy okres. Zastanów się jednak, czy nie wpadasz z jednej skrajności w drugą. Ostrożność nigdy nie zawadzi, ale czy należy przesa- dzać? Sprawy finansowe uło- żyły się lepiej, nie znaczy to jednak, że musisz lekkomyślnie podchodzić do życia, zbytnio szastać pieniędzmi. Pomyśl o urlopie czy o wa- kacjach. Leczenie na „jakoś tam będzie” nie zawsze po- płaca.

### BLIŹNIĘTA 21 V—20 VI

Znowu wraca problem sta- rej znajomości. Jesteś mię- dzy miotem a kowadłem, bo „stara znajomość” ma tak mało wolnego czasu. A tu wiosna, a tu lato za pasem, trzeba już myśleć o towa- rzystwie, zwłaszcza że nie należysz do osób, które lubią się umartwiać. Czy znajdziesz złoty środek? Sprawy na pewno nie jest łatwa. W pra- cy czekają cię pewne kłopoty, ale nie przejmuj się ni-

mi zbytnio. Są tacy, którzy ci i tak zazdroszą, bo oni gorzej trafiłi.

### RAK 21 VI—22 VII

Sprawy domowe ułożyły ci się zdecydowanie lepiej, kie- dy zniknęła podejrliwość. Staraj się nie dopuścić do te- go, by wróciło to, co było. Ale pewne kłopoty rodzinne mogą wystąpić, tym razem już nie z twojej winy. W dalszym ciągu musisz wyka- zywać dużo tolerancji, a przede wszystkim cierpliwo- ci. Czekający cię wyjazd wymaga dobrego zaplanowa- nia. A ty wszystko odkładasz na ostatnią chwilę...

### LEW 23 VII—22 VIII

No i znowu wplątujesz się w nową kabałę, jakby czas przeszedł niczego ciebie nie nauczył. Jeśli już możesz żyć bez nowej, sezonowej znajo- mości, zachowaj więcej roz- sadku, nie afiszuj się nie- potrzebnie. Wiesz, jaką masz opinię wśród swego otocze- nia? Niestety, nie jest ona zbyt pochlebna.

### PANNA 23 VIII—22 IX

Kocha. Na pewno kocha, nie masz powodu do zmart-

wień i nie rób z siebie ofiary losu. Sytuacja finansowa też już nie tak zła, kiedy raty spłacone. Na samochód mu- sisz jednak nieco poczekać. Nie okazuj zniecierpliwienia, zwłaszcza gdy wiesz, jak trze- ba było przedtem zaciskać pasa. Nie można zresztą wszystkiego mieć od razu.

### WAGA 23 IX—22 X

Maj, tak jak i druga deka- da kwietnia, zapowiada się dla ciebie bardzo pomyślnie. Przede wszystkim w pracy ułoży ci się prawie wszystko tak, jak zaplanowałeś (aś) Prawie wszystko, bo z urlopem, a ściślej z termi- nem urlopu, mogą być pew- ne kłopoty. Ale postaw się w sytuacji szefa: wszyscy chcą iść latem na urlop, a przecież twój Instytut nie można zamknąć na kłódkę. Ta ostatnia znajomość może być wreszcie tą na którą czekasz, ale nie narzucaj się. Przede wszystkim jednak nie odkrywaj wszystkich kart. Rozumiemy się?

### SKORPION 23 X—21 XI

Zastanów się, czy potrzebn- e ci są rzeczywiście te do- datkowe prace, które zajmu- ją ci wiele czasu, a nie przy- noszą znowu tak wielkich ko- rzyszczy? A nie trzeba już chy- ba wypowiadać prawdy, któ-

ry sam (a) znasz najlepiej: te dodatkowe zajęcia sprawiają, że nie wypełniasz należycie swoich podstawowych obo- wiązków. Rodzina rodziną, ale przecież i inni pracują, czas przestać być dojną kro- wą.

### STRZELEC 22 XI—21 XII

Nie denerwuj się. Wszystko powinno skończyć się pomyślnie, ale musisz zachować dużo taktu i umiaru. Przede wszystkim nie wolno ci oka- zywać zniecierpliwienia. Czy ten pośpiech rzeczywiście le- ży w twojej naturze? Rodzin- ne rady też nie są najlepsze. Tylko ty znasz szczegóły sprawy i tylko sam(a) musisz decydować. Dzielnie się od- powiedzialnością może w tym wypadku spowodować niepo- trzebne zadrażnienia.

### KOZIOROŻEC 22 XII—20 I

Oczywiście musiałeś (aś) postawić na swoim. Masz rac- je, ale zawsze trzeba oka- zywać więcej taktu i szacun- ku dla otoczenia. Całą sprawę można było załatwić i- naczaj. Pozostał tal i coś w rodzaju niedosyt. Na szcze- ście ci ludzie nie należą do pamiętliwych. Koniec kwiet- nia przyniesie ci pewną nie- spodziankę. Nie wszystko u- łoży się według twoich ży- czeń, ale nie będziesz miał(a)

powodów do zbytnich narze- kań.

### WODNIK 21 I—18 II

Nie zalamuj się. Ten czas, dość przykry dla ciebie, mi- nie szybko, nawet szybciej niż się w tej chwili spodzie- wasz. Oczywiście wszystko musisz robić sam(a), ale inne go wyjścia nie ma. Listy, na które czekasz, wkrótce na- dejdą, choć nie wszystkie będą zbyt pomyślne. Służbo- we sprawy „wodników” uło- żą się w tym okresie lepiej niż osobiste.

### RYBY 19 II—20 III

Niestety, „ryby” będą mia- ły teraz wiele przykrości i to z różnej strony, nawet ze strony najbliższych. „Chuda” druga dekada kwietnia, a i początek maja nie będzie zbyt dobry. Jeśli można co- kolwiek radzić — to zacho- wanie spokoju. Pamiętaj więc — wiele spacerów po świeżym powietrzu, mniej papierosów, mniej napętno- nych kieliszków.

### Stella

**ODPOWIEDZI STELLI:**  
Jerzy K. z Białegostoku. Absolutnie nie. Przeczytaj wyżej, co pisze o „rybach”, a Twoja dziewczyna właśnie urodziła się pod tym zna- kiem: nie mów jej tego. Czas zrobi swoje. Poczekał jeszcze trochę!  
„Kamil” z Lublina. Nie martw się. Po świętach be- dzie dosyć czasu, aby ten tem- at w szeregach rozpat- rzyć. A chwilowa rozłaka dob- rze robi. Najbliższy okres dla osób spod Twojego znaku będzie bardzo pomyślny.

# HOROSKOPY

Ważne od 19 kwietnia do 2 maja

# KULTURA 1976

## KONKURSY

Rada Uczelniana SZSP Uniwersytetu Warszawskiego, miesięcznik „Poezja” i tygodnik „Politechnik” ogłaszają ogólnopolski konkurs pod hasłem „O inny głos” — na zestaw pięciu wierszy lub krótkie opowiadanie (do 3 stron) na temat dowolny dla autorów przed debiutem książkowym. Trzy egzemplarze należy nadesłać do 25 maja pod adresem: Kieki Salon Poetycki Klubu SZSP „UBA”, 04-297 Warszawa, ul. Kiekiego 12. Nagrody: I — 2 tys. zł, II — 1500 zł, III — 1000 zł i trzy wyróżnienia.

Oleśnicki Ośrodek Kultury, Kolo Młodych Pisarzy przy ZLP we Wrocławiu oraz Urząd Miasta w Oleśnicy ogłaszają konkurs poetycki „Oleśnicki maj 76”. Zestaw utworów poetyckich nigdzie dotąd nie publikowanych (w 3 egz.) należy nadesłać do 15 maja pod adresem: Oleśnicki Ośrodek Kultury, 56-400 Oleśnica, ul. Rewolucji Październikowej 10. Nagrody: I — 5 tys. zł, II — 3 tys. zł, III — 2 tys. zł, podział może być inny.

Naczelny Zarząd Kinematografii Min. Kultury i Sztuki, Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej przy współudziale ZLP, wydawnictwa „Iskry” oraz Stowarzyszenia Filmowców Polskich ogłaszają konkurs dla członków ZLP oraz „Kół Młodych” przy oddziałach ZLP na scenariusz filmowy lub nowelę filmową (nowela do 25 stron maszynopisu w dowolnym gatunku literackim) pt. „Oblicza młodych”. Chodzi o pokazanie problemów moralnych, psychologicznych, obywatelskich, zawodowych itp. — z podjęciem pracy, konfliktów przy zetknięciu się z młodzieńczego entuzjazmu z rutyną, awanturniczym i zawodowym, pokazanie postaw twórczych, zaangażowanych itp. Prace w 3 egzemplarzach należy przesyłać do 20 czerwca pod adresem: Naczelny Zarząd Kinematografii, 00-071 Warszawa, Krakowskie Przedmieście 21/23, pokój 2a. Nagrody za scenariusz: I — 40 tys. zł, II — 25 tys. zł, III — 18 tys. zł; za nowelę: I — 25 tys. zł, II — 17 tys. zł, III — 10 tys. zł oraz trzy wyróżnienia po 5 tys. zł.

## KSIĄŻKI

Państwowy Instytut Wydawniczy zapowiada podjęcie dwóch serii wydawniczych, nieznanych dotąd w historii naszego kraju. Pierwsza seria pod hasłem „Bibliotheca Mundi” obejmie najstarsze zabytki literatury rekopisownianej, które stworzyły podwaliny kultury na świecie. Jako pierwszy tom ukazuje się w przyszłym roku „Księga królewska” ze starożytnej Persji, potem m. in. Biblia, Koran, Talmud, dzieła starożytności czy starożytności. Rocznie 2-3 tomy w starannej oprawie graficznej. Druga seria, dopiero w latach 80-tych, to „Wielka Encyklopedia Literatury Światowej” od początków po dzień dzisiejszy, razem 16 tomów, 30 tys. haseł.

Wszystkich kombatantów drugiej wojny światowej — a chyba nie tylko ich — zaciekała książka Stanisława Kani „Polska gwara konspiracyjno-partyzancka czasu okupacji hitlerowskiej 1939-1945”, wydana przez Wydawnictwo Uczelniane Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. Autor zebrał około 3 tys. wyrazów i związków frazeologicznych, związanych z czasem okupacji.

Literatura francuska znajduje coraz mniej czytelników w świecie — stwierdza „Le Figaro Littéraire”. — W roku 1974 eksport książek z Francji przedstawiał wartość 663 mln franków, podczas gdy eksport z RFN 750 mln franków. Z jednej strony jest to wynikiem zablokowania przez rząd cen książek wydanych dawniej, a których ponowny nakład wydawcom nie opłaca się. Z drugiej strony winni są sami literaci francuscy. Kiedyś książka francuska była uniwersalna, dziś wszystko ujmuje się jednostronnie, „po parysku”, co odstrasza potencjalnych czytelników. Dawniej książki nagrodzone nagrodą Goncourtów znajdowały w USA 3-4 tys. czytelników, dziś zaledwie 400-600.

## MELPOMENA

Niedawno powstały Teatr Współczesny w Szczecinie, pro-

wadzony przez Macieja Engiertha, wystawił prapremierę sztuki Edwarda Redińskiego „Jubileusz” (przed dwoma laty debiutował na scenie „Awansiem”). Początkowo ma ona charakter komedii, potem tematyka i akcja zmusza widzów do zastanowienia się, stawił pytania samemu sobie. By wtedy właśnie następuje zderzenie tradycji i emancypacji, specyficznie rozumianych tradycjonalizmu z malarzskim snobizmem. Osoby: chłop ze wsi przemianowany przez żonę z Antoniego na Toniego, córka zasłużonego działacza robotniczego, weteran walk z Hiszpanii, opiekująca się nim dziewczyna ze wsi.

Michał Carlew jest dyrektorem moskiewskiego Teatru Małego oraz przewodniczącym Wszechrosyjskiego Towarzystwa Teatralnego. Opublikował książkę pt. „Niepowtarzalne chwile”, która stała się bestsellerem dla wszystkich ludzi lubiących teatr. Jest to nie tylko historia rosyjskiej sceny z podkreśleniem związku między teatrem realistycznym a postępową myślą społeczną, ale także rozważania o roli aktora w społeczeństwie. Autor bardzo krytycznie podchodzi do własnych ról na scenie i w filmie, które przyniosły mu największy rozgłos. Twierdzi mianowicie, że właśnie w tych rolach nie osiągnął efektu, jakiego pragnął, że nie stworzył pełnego obrazu psychologicznego odtworzonych postaci.

Szekspir jest wciąż aktualny, ciekawy, pobudzający do dyskusji. Dowodem tego wielka impreza, która odbędzie się w Waszyngtonie w dniach od 19 do 23 kwietnia: pierwszy Międzynarodowy Kongres Szekspirowski. Udział zapowiedziało około tysiąca uczonych, literatów, publicystów i krytyków. Obrady będą się odbywały na Kapitolu w Bibliotece Szekspira, która posiada podobno największe zbiory związane z tym pisarzem. W dniu jego urodzin — 23 kwietnia — referat wygłosi pisarz argentyński Jorge Luis Borges, laureat Nagrody Nobla.

## MUZYKA

Tydzień po świętach, w dniach 23-25 kwietnia, odbędzie się w Poznaniu po raz czwarty (po rocznej przerwie) impreza pt. Międzynarodowa Wiosna Estradowa. W przeciwieństwie do poprzednich, będzie to właściwie wielki festyn artystyczno-rozrywkowy, w którym weźmie udział około 100 tys. publiczności. Będą soliści i zespoły z Bułgarii, Czechosłowacji, Kuby, Polski, Węgier i Związku Radzieckiego. Poza koncertami ogólnymi w specjalnych pawilonach będą się odbywały imprezy specjalistyczne, jak

np. piosenki poetyckiej, muzyki jazzowej czy awangardowej beato-wej. Większość uczestników wystąpi także w różnych miastach Polski — miejmy nadzieję, że lubelska Estrada niektórych z nich sprawdzi także do większych miast naszego rejonu.

Do kalendarza krajowych imprez muzycznych wszedł w tym roku festiwal oratoryjno-kantatowy, popularizowany pod nazwą Opolskie Dni Oratoryjne. Koncerty odbywają się nie tylko w samym Opolu, ale także w innych miastach województwa, w zabytkowych kościołach i pałacach.

Warto zapamiętać to nazwisko: Luciano Pavarotti. Ten 40-letni tenor włoski występuje obecnie na różnych scenach oper amerykańskich, odnosząc niebywałe sukcesy. Krytycy piszą, że jest to prawdziwy następca Carusa i Maria del Monaco. Od opery w Modenie, gdzie stał się gwiazdą, zażądał podwyższenia honorariów o prawie połowę, grożąc, że w przeciwnym wypadku nie przedko powróci.

## NAPISANE

Z bardzo i mniej poważnych publikacji wyciągnęliśmy poszczególne zdania, które wydały nam się godne podkreślenia. Czasem mają one charakter tzw. złotych myśli, czasem są nie pozbawionymi kokieterii powiedzonkami, czasem zdradzają jakąś ukrytą myśl autora: „Dziś dziewczyna znaczącej mniej niż maszyna. Samochód sprzedaje się nie dlatego, że pomoże zdobyć dziewczynę, ale dlatego, że już jest dziewczyną” (Norman Mailer). „Przyjaźni naszej nie umacniała wyłącznie radość i sukces, ale i niepowodzenia, tak jak zresztą jest zawsze w życiu” (Kukryniksy). „Jeżeli ktoś nie posiada świadomości politycznej, to w moim pojęciu nie jest człowiekiem, tylko marionetką” (Luchino Visconti). „Lekarz podkreślający z naciskiem swą szczerść wobec pacjenta już przez ten nacisk może i musi wydać się pacjentowi nieszczerzy, jeśli jest to pacjent inteligentny” (Hamilton). „To widocznie mecenat państwowy sprawił, że obecnie rzeźbiarze wyrastają jak grzyby po deszczu. Lepiej, żeby ich było mniej, a wybitniejsi” (Wia-

dysław Botnicki). „Współczesny savoir-vivre potępił zdecydowanie studia nad ludzkimi twarzami: wpatrywanie się w kogoś uchodzi za akt zaczepny lub przynajmniej za pozbawioną subtelności adorację, prawie nikt nie ma na to wielkiej ochoty” (Michał Radowski). „A może ja rzeczywiście jestem nie z tego świata może rzeczywiście mieszczę się tylko ósksamymi reproduktorami gątniku” (Anonimowa czytelniczka „Kulis”).

## OPINIE

„Jest naszym potoczonym zdaniem, że wielki artysta należy do współczesnej mu epoki. Wyraża ją najpełniej, ale właśnie dlatego, że poza nią wykracza.” (Hafat Marszałek — „Literatura” nr 14).

„Rasowy fryzjer z fryzjerskich stolic Europy nie może bez bólu serca patrzeć na naszą ulicę. Kraj najpiękniejszych w Europie kobiet chodził ostrzyżony fatalnie, albo w ogóle nie ostrzyżony, co jest paroksem dla fachowca bardzo bolesnym. Polska piękność, która przywdziewała modę prosto z żurnali, w sprawach fryzuru zapóźniona o dwa, trzy, bywa, lata. W krajach fryzjersko-przodujących nosi się obecnie głowy damskie male i zadbane. Na męskich — włosy niegają na świecie najwyższe do koineryka koszułi. A u nas?” (Barbara Pietkiewicz, „Kultura” nr 14).

„Tymczasem w Polsce czasy fachowców z różnych dziedzin — o ile nie muszą zdawać jakiegokolwiek egzaminu — nie korzystają z bibliotek, nie czytają nowej literatury krajowej i zagranicznej, słowem, poprzestają na wiedzy wyniesionej ze studiów lub szkoły średniej. Praktyka taka szkodzi im samym i w poważnym stopniu hamuje gospodarczy rozwój”. (Wojciech Janakowery, „Tygodnik Kulturalny” nr 14).

„Do 1985 roku będzie systematycznie wzrastać zapotrzebowanie na kadry ze średnim i wyższym zawodowym wykształceniem oraz na wysoko kwalifikowanych robotników. Wynika to z dynamicznego rozwoju gospodarczego naszego kraju (...). W 1980 roku zapotrzebowanie na pracowników ze średnim i wyższym wykształceniem ma wynosić ponad 3 mln, a na robotników wykwalifikowanych ok. 6 mln. Natomiast dla osób ze średnim przygotowaniem ogólnym przewiduje się zaledwie nieco powyżej 0,5 mln stanowisk pracy”. (Bohdana Gajdeczkowa, „Trybuna Ludu” nr 77).

# Koty i notki

Ta rubryka nie jest przeznaczona do analizy ukazujących się w druku wierszy. Ale trudno mi powstrzymać się od przedruku trioletu Jerzego Jaromłowski, który ukazał się na czolowym miejscu marcowego numeru „Poezji”:  
„czemu ja takie duperele piszę / gdy inni sprawy świata rozważają / mrużąc do kota i trącąc klawiszem / czemu ja takie duperele piszę / gdy gadam z kotem to świata nie słyszę / ważne jest bowiem gdzie nas kota mają / i by to wiedzieć duperele piszę / gdy inni sprawy świata rozważają”. Ale gdzie nas kota mają — nie dowiedziałem się.

Z zawiścią przeczytałem, a właściwie oglądałem książkę pt. „Nidzica”, nadesłaną nam przez Wydawnictwo Pojezierze z Olstyna. Nakład skromny — 250 egzemplarzy, cena możliwa — 55 zł. Ale objętość tej monografii wynosi 334 stron, papier ilustracyjny klasy III, piękna czcionka, ładne fotografie, streszczenie w językach angielskim i niemieckim. Wydawnictwo jest cenne, ale mocno deficytowe, deficyt zaś został pokryty jeszcze przez Urząd Powiatowy w Nidzicy. Jest to zresztą siedemnasta tego typu monografia miast Warmii i Mazur. A u nas?

U nas dawne urzędy powiatowe na takie cele bardzo rzadko miały pieniądze, a teraz urzędy gminne nie mają nawet na pokrycie znacznie mniejszych wydatków. W marcu Międzyzakładowy Dom Kultury w Milejowie musiał zwolnić kilka osób, ponieważ w czasie reorganizacji administracji o kulturze w tym rejonie zapomniano. Kierownik zatrzymał jednak instruktorów do spraw plastyki i wszystko wskazuje na to, że będzie jej musiał zapłacić pensję z własnej kieszeni.

Straszną jest ta inwazja biurokratycznego żargonu. Tygodnik „Opis” (nr 14) całą stronę poświęcił na opisanie, jak umebłowić pokój dla trzyletniego dziecka. Stół został tam nazwany „roboczą płaszczyzną”, a miejsce przy tym stole „stanowiskiem pracy dziecka”. Ponadto autorzy proponują, aby „pojemnik na zabawki” zrobić sobie z plastikowej skrzynki na butelki od „Pepsi”. To wy-

gląda na namawianie do kradzieży, gdyż takiej skrzynki nigdzie legalnie kupić nie można.

W ostatnim czasie ujawniono w różnych państwach wiele dokumentów, dotyczących tajemnic drugiej wojny światowej. W związku z tym „Kurier Lubelski” (nr 77) donosi, że w rejonie Ławicy Słupskiej leży wrak hitlerowskiego transportowca, na pokładzie którego „obok kilkuset tysięcy hitlerowców” znajdowała się rzekomo Bursztynowa Komnata. Rzeczywiście rewiela. Jak dotychczas największe statki przewoziły zaledwie po kilka tysięcy ludzi.

Wiadomo nie od dziś, że we wspomnieniach jedni autorzy idealizują swoich znajomych, inni przypisują im wszelkie wady, a jeszcze inni piszą o rzeczach, które się nigdy nie zdarzyły. Włodzimierz Sokorski, naczelny redaktor „Miesięcznika Literackiego”, zamieścił w nim długą relację z rozmowy, jaką odbył z Jerzym Andrzejewskim we wrześniu 1953 roku podczas sesji Rady Kultury i Sztuki, której to rozmowie „dziwili się nawet muchomorzy”. Tymczasem Andrzejewski w nr. 14 „Literatury” twierdzi, że w Łagowie nigdy w życiu nie był, na co ma wielu świadków i to solidnych, a Sokorski rozmawiał chyba z jego galaretowatą zjawą, czemu muchomorzy rzeczywiście mogły się dziwić. Myślę, że redaktor naczelny „Miesięcznika” odpowiednio zganił swego współpracownika.

W dniu 5 kwietnia nasza telewizja w programie II transmitowała fragment meczu koszykówki kobiet Polska — Węgry. Jak twierdzi komentator, Węgry dwukrotnie okazały braki naszych koszykarek. Informacja z gruntu fałszywa. Zadnego obnażenia nie było.

Jak podała w „Polityce” (nr 14) Wanda Falkowska, Sąd Najwyższy ustalił zasadę prawną, że małżeństwo lekarzy-psychiatrów nie może wydawać wspólnej opinii o stanie zdrowia psychicznego oskarżonego. Podobnie w jednym komplecie nie mogą zasiadać sędziowie-małonkowie. Bardzo słusznie. Brak mi tylko odpowiedzi na pytanie, czy w jednej sprawie mogą występować małżonkowie-advokaci — on broniący spraw powoda, ona — pozwanego. Dotyczy to także rozprawy karnej.

Nasza primaaprilisowa parodia „Kuriera Lubelskiego” w poprzednim numerze bardzo się podobała czytelnikom, o czym świadczą liczne telefony. Pierwsza zadzwoniła jakaś pani, która znalazła nożyczki, rzekomo zgubione przez redakcję, a potem dyrektor PDT Sezam, dziękując za bezpłatną reklamę, bo akurat w dniu 1 kwietnia był w sprzedaży papier toaletowy. Też dobrze.

# Ekran i wiedz

## FILM AFRYKAŃSKI

WUBIEGLYM roku kinematografia afrykańska odniosła wiele sukcesów na międzynarodowych festiwalach w różnych miastach europejskich. Po raz pierwszy w historii Cannes główną nagrodę przyznano filmowi z kontynentu afrykańskiego: zdobył ją algierski reżyser Lahdar Hamina za „Kronikę płomiennych lat”. Międzynarodowy Festiwal Młodego Kina w Tulonie przyniósł zwycięstwo „Grand Prix” otrzymał film „Szeregi czyli strasznie zaciekłe zawzięte milczenie” marokańskiego reżysera Mumena Smicha. Następnie, na Międzynarodowym Festiwalu Filmów z francuskiego obszaru językowego, który odbył się w Genewie, jury przyznało jedną z głównych nagród kamerunskiemu reżyserowi Jean Pierre Ducompte-Pipe'owi za jego debiut filmowy „Cudze dziecko”, a nagrodę specjalną otrzymał film „List ze wsi” zrealizowany przez pierwszą w Senegalu kobietę-reżyserkę Sophie Fajja.

W lipcu, na IX Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie, uznanie zdobyła także afrykańska szkoła aktorska: za najlepszą rolę żeńską uznano kreację algierskiej aktorki Fatimy Bumaril w filmie „Dzieciństwo”. Film afrykański był zdobywcą pierwszej nagrody także na festiwalu w Taorminie (Włochy) było to dzieło senegańskiego reżysera Machamy Traora „N Diangane”. Zaś w Locarno film algierski „Nua” Abdel-Azisa Tolbiego, przedstawiony poza konkursem, uzyskał specjalną nagrodę jury za oryginalne ukazanie walki narodu o wolność.

Nagrodę im. George'a Sadoùle'a, która przynajmniej jest w Francji tradycyjnie za najlepszy film roku, zdobyły aż trzy dzieła afrykańskiej kinematografii: „Narodowość—imigrant” mauretańskiego reżysera Sidneya Sokhona oraz wspomniany już „Cudze dziecko” i „List ze wsi”.

W Afryce ciągle jednak jeszcze wszechwładnie panuje film zachodni, głównie amerykański. Ponieważ i dystrybucja i większość sal kinowych znajduje się w rękach białych właścicieli,

szanse ambitnej twórczości rodzimej są na razie znikome. I choć brzmi to paradoksalnie, utalentowani reżyserzy afrykańscy szybciej znaleźli uznanie na Zachodzie niż we własnych krajach, a nagrodzone filmy dotychczas nie są znane tam, gdzie powstały, z wyjątkiem Algierii i Senegalu. Postępowa kinematografia Afryki, ukazująca w sposób oryginalny i nowoczesny współczesne problemy swych krajów, nie ma najczęściej jeszcze możliwości szerszego dotarcia do rodzimego widza.

Ostatnio kilkudziesięciu filmowców afrykańskich, również i arabskich przybyło na zaproszenie FESPACO (Festiwal Panafricana du Cinema d'Ouagadougou — Filmowy Festiwal Panafrkański w Wagadugu) do stolicy Górnej Wolty. Był to już V FESPACO, impreza która zajmuje ważne miejsce w rozwoju kinematografii afrykańskiej. Głównym celem festiwalu jest ogłoszenie światu gotowości Czarnego Łądu do podjęcia samodzielnej twórczości filmowej, do niedawna nie istniejącej na tym kontynencie.

W filmach zaprezentowanych na V FESPACO poruszono kilka zasadniczych tematów wspólnych dla całego kontynentu. O wyzwoleniu kobiety, zmieniającym tradycyjny obraz społeczeństwa, mówili: „Muna Moto” Kamerunczyka Jean-Pierre Ducompte-Pipa, „Wiatr z południa” Algierczyka Slim Riada, Tunezyjczyk Achmed Knechine w „Jesiennym deszczu” wyszyda tradycyjny kult męskości. Dyskusje wzbudziły filmy „Czarna gwiazda” Nigeryjczyka Djangareye Maiga i „Kapeluszy”, obywatela Wybrzeża Kości Słoniowej — Gnan M'Bala. Pierwszy potępił męża, który porzucił żonę dla prostytutki, drugi — nie bez humoru — ukazuje elegancki, nowobogackie i abidżańskiego „lepszego towarzystwa”.

Migracja ludności rolniczej do miast, a później częsty powrót na wieś — to inny problem poruszony w filmach. Malgasc Ignace-Solo Randrasan w „Powrocie”, Tunezyjczyk Ibrahim Babal w „A jutro” i nieco wzorujący się na „western spaghetti”, Senegalczyk Tidiane w „Bransolecie z brązu” oraz Senegalczyk Safi Faye w „Liście wieśniaczkę” wyjaśniają powody tej wędrówki. Zaś inny jeszcze Senegalczyk, Momar Thiam w „Połączeniu” mówi o niebezpieczeństwach życia w mieście dla wieśniaków, wpadających często w obcy środowisk w narkomanie.

# Pocztą literacką

B. J. D. Bogucice. Pomysł jest bardzo dobry. I właśnie na tym przykładzie widzę, że sam pomysł nie wystarczy. Cóż z tego, że wymyśliła Pani atrakcyjną fabułę. Jeżeli nie obudowała jej Pani materiałem spostrzeżeń, refleksji, przemysłów, tego wszystkiego co naprawdę tworzy pisarstwo, utwor literacki nie powstał. Nie bierze się do ręki pióra po to, by pokazać, że „mogło i tak być”, lecz po to, by podzielić się z kimś swoim widzeniem świata. U Pani tego — niemi widzeniem świata. O Pani tego — niemi widzeniem świata. O Pani tego — niemi widzeniem świata.

Z. C. Tomaszów Lubelski. Przykro mi, ale mniejsze słowa nie będą słowami otuchy. Nie w tym sensie, że wiersze są zupełnie pozbawione wartości, ale widać brak im tego, co moglibyśmy nazwać werwą poetycką. Słowa idą trybem przyjętego wierszowego zwyczaju, nie odbija się w nich indywidualność autora. Ponadto mam wrażenie, że nie wyczuwa Pan jednolitości stylu, konwencji. Np. w jednym wierszu mówi Pan o Arachnie i love story. Owszem, dla efektu spięcia jest to nawet wskazane, ale Pan używa tego imienia i tego terminu równocześnie przez pewnego rodzaju prostoduszność. Skoro mowa o tkaniu, będzie „pasowała” Arachne, skoro zaś o Kochaniu — love story. Bo akurat słyszało się coś o tym. Dodam nawiasem, że słyszało się niedokładnie. Przecież Arachne nie była smyczerem.

A. S. Lublin. Popelnia Pan uświęcony grzech wszystkich początkujących: rozliczenie. Na czym on polega? Przecież znam się, że dość mi trudno będzie wyjaśnić. Bo przecież sam mówię o potrzebie wyznania osobistego. Ale proszę uwzględnić, że między wyznaniem a wyznaniem jest różnica. Nie wszystko „pływać z głębi”, „odkryte”, „najszersze” jest wyznaniem. Żeby coś było wyznaniem ważnym w poezji, musi zawierać współczynnik trudności właściwy temu rodzajowi mowy. Mówi Pan o matce. Tak, ale w wierszu nie wystarczy sama deklaracja miłości i przywiązania — bez wiersza czytelnik. Potrzeba jeszcze o tym powiedzieć w sposób „spitegowany”, bo takim jest poetyckie słowo. Nie znaczy, żeby udziwniać, szukać „oryginalności”. To jeszcze gorzej. Ale nie dopuścić do sztampy, choćby cienia sztampy, bo wtedy degradujemy sam przedmiot tak przecież dla nas wysoki. A Panu zdarzają się beztrudnie malowanki w stylu dawnych listów, czy szambuchów. Np.: „Pamiętam te dni i noce jak spacerowaliśmy z całą gromadką”. A kys! Czym przedziwniejsze jest wiersz ten wiatr, który „melodyjnie grał na gałęziach drzew”, a później „melodie o miłości i szczęściu na ziemi”. Wolno popęcić popelniać komunał? Wolno. Nawet list w prawdziwego poety ma on wy-mowy! Ale też jakim zaobsem refleksji, poszukiwań, odkryć jest obudowany.

G. S. Lublin. Proszę powiedzieć rodzinnie, że się myli. Jest sens. I w ogóle miłe zaskoczyła anty-proza, naturalność w tych wierszach, co się dziś arcyzadko zdarza. Dziś się w wierszu drwiący. Pani nie tracić niczego z oryginalności mówić w sposób zwykły, ludzki, czytelny. Nie będę ukrywał, że pobrzmię-wa mi to czasem Galszczyńskim. Oczywiście — jednym z Galszczyńskich. Tym od „Wizyty”. „O naszym gospodarstwie”. „Pokochałem ciebie”, od mrużenia kota pod łufcikiem na krzywym parapacie, od jesieni jak wstążki kolorowe na gitarze. Tu winie-nem przyhamować trochę komplementy, bo przedczesna pochwała może czasem narobić więcej szkody, niż najjadliwsze gromy. Dlatego „przedczesna”? Bo widać, że Pani wiersz jeszcze się u Pani nie wyklarował. Jeszcze znajduje się w stadium fermentacji. Poczekajmy na jego postać dojrzałą. Dobrze! Z drukiem nie ma potrzeby się spieszyć, tym bardziej że ze względu na wiek na Pani jeszcze przed sobą całą masę czasu. Zmieści się w nim i satysfakcja z dokonania i gorzka niepowodzenia, na które również trzeba być przygotowaną, ale bez których nie ma rozwoju. A zatem — wszystkiego po-etyckiego.

W. S. B. Ostrów Lubelski. Powiem może hezyceremonialnie, ale szczerze i otwarcie, a to ma większe znaczenie: nie zainteresowały mnie Pana wiersze, za-interesował list. W liście jest Pan naturalny, a ponieważ niejednemu ujmuje Pan trafnie, jest Pan w nim ciekawy, na tomiast w wierszach, gdzie uważa Pan, że „należy być” artysta, poeta — popada Pan w sztuczność. Owszem, artysta i poeta być należy, ale przede wszystkim sobą. A na przykład czy swoją dzwiczynę do półsłońca na spacer zachęca Pan słowami, że kropki rosy na trawie blizczą jak pióra pawie? Nie, to było potrzebne do rymu. Sam jestem zwolennikiem tzw. regularnego kształtu wiersza, ale nie ma skuteczniejszego zabójstwa poezji niż rym wymyślony, wymuszony, wyduszony. Niech Pan pisze wiersze tak, jak Pan napisał ten list. Z chwilą przystąpienia do pisania nie trzeba przy-bierać pory. Czytelnik chce się czegoś dowiedzieć o człowieku, a nie o kompu-terze obsługującym konwencjonalne li-terackie kolizenty. Mówię tak ostro, bo wiem, że na coś Pana stać! A może by tak poprobować prozy?

J. C. Bydgoszcz, J. G. Gorzów Wielkopolski, K. E. Otwock, R.C. Poznań — nie skorzystamy.

## Szyfrogram (nr 8)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści piszącego po angielsku pisarza — marynisty, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 12 początkowych wyrazów pomocniczych.

Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

### Wyrazy pomocnicze

13. 14. 4. 22. 2. 22. — krzew z pachnącymi kwiatami,  
18. 47. 1. 25. 79. 55 — taktyczna uciezka,  
42. 94. 121. 27. 117 — trzy lokcie,  
3. 43. 51. 6. 18. 38. — zakończenie,  
15. 22. 13. 101. 65 — wygięty pret,  
28. 8. 48. 83 — handel dużymi ilościami,  
27. 36. 12. 58. 72. 111 — komorne,  
16. 91. 146. 67. 52. 142 — narzędzie do pisania,  
21. 29. 76. 46. 61. 118. 32 — toruński dziennik,  
9. 41. 50. 83. 48. 122 — zasuwa,  
5. 84. 69. 57. 129. 24 — od niedawna niepodległe państwo w Afryce,  
30. 56. 122. 19. 60. 114 — przyrząd gimnastyczny,  
45. 96. 90. 66. 11. 98. 25. 102. 26 — portret,  
54. 76. 77. 112. 113. 128. 106 — rozmyślnie fałszywie zbudowane, pozornie poprawne rozumowanie,  
71. 62. 99. 87. 106. 123 — nacisk,  
17. 29. 120. 143. 104. 72 — twarda skóra owoców,  
64. 44. 78. 115. 130. 110. 135. 75 — wypowiedź wtrącona w tekst,

|     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |
|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|
| 1   | 2   | 3   | 4   | 5   | 6   | 7   | 8   | 9   | 10  | 11  | 12  | 13  | 14  |     |
| 15  | 16  | 17  | 18  | 19  | 20  | 21  | 22  | 23  | 24  | 25  | 26  | 27  | 28  | 29  |
| 30  | 31  | 32  | 33  | 34  | 35  | 36  | 37  | 38  | 39  | 40  | 41  | 42  | 43  | 44  |
| 45  | 46  | 47  | 48  | 49  | 50  | 51  | 52  | 53  | 54  | 55  | 56  | 57  | 58  | 59  |
| 60  | 61  | 62  | 63  | 64  | 65  | 66  | 67  | 68  | 69  | 70  | 71  | 72  | 73  | 74  |
| 75  | 76  | 77  | 78  | 79  | 80  | 81  | 82  | 83  | 84  | 85  | 86  | 87  | 88  | 89  |
| 90  | 91  | 92  | 93  | 94  | 95  | 96  | 97  | 98  | 99  | 100 | 101 | 102 | 103 | 104 |
| 105 | 106 | 107 | 108 | 109 | 110 | 111 | 112 | 113 | 114 | 115 | 116 | 117 | 118 | 119 |
| 120 | 121 | 122 | 123 | 124 | 125 | 126 | 127 | 128 | 129 | 130 | 131 | 132 | 133 | 134 |
| 135 | 136 | 137 | 138 | 139 | 140 | 141 | 142 | 143 | 144 | 145 | 146 | 147 | 148 | 149 |

34. 45. 132. 81. 112. 124. 83 — zaczyna się roz-wijać w góralskiej piosence,  
86. 92. 107. 63. 97. 116 — upiększenie,  
139. 119. 141. 125. 20. 40. 31. 59. 95 — stopień wojskowy,  
103. 82. 108. 127. 138 — przeniesienie na wyż-sze stanowisko,  
74. 121. 136. 105 — ulega często zmianom,  
80. 137. 85. 89. 109. 134 — buleczki księżycowe.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań roz-lusujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 6 był fragment „Janka Muzykanta” Henryka Sienkiewicza:

„Cicha letnia błyskawica, przeleciała między wschodem i zachodem, oświeciła raz jeszcze wnętrza kredensu i Janka na czwo-rakach przed akrypcjami z głową zadartą do góry”.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 6 cztery bony książkowe, po 40 zł każdy, wylosowali: Krzysztof Sasadeusz, 1-go Maja 91, 22-600 Tomaszów Lub.; Danuta Burka, ul. Wokładowa 30, 51-528 Wrocław; Czesław Za-wiślak, Stawce, 23-224 Hatorz; Jan Miciąg-czek, ul. Kosynierów 2/32, 35-202 Rzeszów.

## listy do kamery

### DLA KOGO TE ELIMINACJE?

Pomimo, że mam już czterdziestą lat, uważam siebie jeszcze za młodzieńca. Dodaj: za młodzieńca ambitną, tę, na którą liczy starsze pokolenie. Swoją postawą i dzia-łalnością pragnę dać powód do dumy szko-le, do której uczęszczałem, miastu, w któ-rym mieszkam, Polsce, którą kocham.

Mam już kilka osiągnięć w nauce i w sporcie. Zawsze pasjonowała mnie muzyka i piosenka, jednak trącił, że nie wio-dło mi się. Przypadek sprawił, że na elimi-nacjach wojewódzkich Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Chełmie zajęłam drugie miejsce kwalifikując się do szczebla mię-dzwojewódzkiego. I tu zaczyna się prob-lem. O kim muśiano ustalać terminy eli-minacji w Radomiu (4-10 V). Chyba o pra-cujących, bo o nas, uczących się, na pew-no nie!

Jestem maturzystką i jest rzeczą zrozu-miałą, że nie będę mogła wziąć udziału w konkursie. Jest mi bardzo przykro i nie wiem, czy kiedyś jeszcze będę próbo-wała swoich sił w piosence.

Fakt uczestniczenia w tego rodzaju impre-zie otwieral przed mną drogę do skrom-nych choćby sukcesów. Prawdą uszakże jest, że początki były dobre, aż tu nagle wszystko się skończyło z winy nieprzem-yślanych decyzji.

Wiktorija Nastaj  
Krasnystaw

### „W AKADEMIKU ZA FIRANKĄ”

W reportażu pod tytułem „W akademiku za... firanką” („Kamery” nr 7) B. Stedleka opisuje sytuację w domu studenckim przy ul. Zana. Otóż warto wiedzieć, że obiekt ten projektował znany architekt, Oskar Hansen. Rozwiązanie i urządzenie pokoi jest kłopot-liwe, to prawda, ale przypominamy, że pro-jekty tego architekta, np. osiedle Stowackie go w Lublinie, zostały spartaczane przez wy-konawców a ponadto zostały opracowane wówczas kiedy to przystąpiono w kraju do realizacji „znakomitego” pomysłu budow-

nictwa oszczędnościowego, które dało nam m. in. ciemne kuchnie i krasnoludkowy me-traż „na głowę”. Hansen, jak mógł, tak ro-bił najlepiej mimo wszystko ostędzie Stowac-kiego nie wygląda źle — przynajmniej na zewnątrz. Cieszymy się z tego, lecz nie zapomniemy o naukach płynących z doś-wiadczeń lat oszczędnościowych (w zamyśle, bo koszty społeczne takiego oszczędzania są wysokie).

Klaudiusz Komosiński  
Lublin

### „PO PROSTU CHORZY”

W 7 numerze „Kamery” ukazał się arty-kuł H. Chabrosowej pt. „Po prostu cho-rzy...”, który zachęcił mnie do kilku ogół-niejszych uwag na temat chorych psychicznie i ich sytuacji środowiskowej. Otóż jest to na ogół sytuacja straszna, ludzie do tej pory traktują chorych psychicznie jak opę-tanych przez ciemne moce. Wyłączenie z choroby, powiedzmy — z nerwicy, wcale nie zmienia tej opinii, otoczenie odsuwa się od człowieka, który opuścił szpital, zdecydowa-

nie bojkotuje go towarzysko, skazuje na śmierć cywilną. Bo nikt nie wie, czy to choroby psychicznej można wyleczyć, że czytelnicy jest mniemaniem błędnym.

Najgorzej tacy ludzie traktowani są na wsi. Świadczą o tym kurczone trzymanie się pacjentów ze wsi szpitali, ich próby o pozostawienie w lecznicy. Nie znajdując argu-mentów, przestraszeni perspektywą powrotu na wieś, chwytają się sposobów tyle gro-teskowych, co dramatycznych, chowając np. po różnych zakamarkach „cywilne”, własne ubrania, w których mają opuścić szpital, albo symulują na potęgę nawrót choroby. Czy można im się dziwić, skoro w „rodzinnym” domu czekają ich posturchtwanta, obelgi, najgorza, brudna robota? Nie widzę sku-tecznych środków, które mogłyby zmie-nić taki stan rzeczy. W tej dziedzinie wszystko zależy bowiem od poziomu kultury środo-wiskowej, od jego humanitarizmu i zrozumie-nia dla jednostkowych dramatów. Obum był w błędzie, oby znaleziono jakieś re-medium.

Jan Walczyński  
Hrubieszów

Tadeusz Chabros

### OKRUCHY

Przepis na niektóre dyskusje telewizyjne — muszę w tym gronie szczerze powiedzieć, że zgadzam się z tezami głoszonymi przez głównego referenta.

Umiejętność życia — rozpoznanie punktu, w którym nie chodzi o dalsze zdobycze, a o utrzymanie tego, co się osiągnęło.

Judasz sprzedał swego mi-strza za pieniądze. Niektórzy uważają go za najpodlejszego z ludzi. Niesłusznie. Spotykałem takich, którzy czynili to za dar-mo, bezinteresownie.

Ludzie szczęśliwi są do siebie podobni. Dopiero cierpienie nadaje im cech indywidualnych.

Krytyka rzeczywistych, ale cudzych błędów bywa czasem pierwszym krokiem do własnego upadku.

Kiedy pnie się do góry obser-wują cię z zazdrością, lę-kciem. Kiedy upadniesz — z życzliwym zainteresowaniem. Nareszcie życzliwość...

Sama mądrość nie przyniesie ci powodzenia. Musisz nauczyć się ją ukrywać.

Après nous le deluge — po nas choćby potop. Zaiste, ci, którzy odwracają się od przy-szłości odwróceni są również od terażniejszości.

### Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechzyca-Rodnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Dębecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Fwa Dvbełk.

Prenumerata na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w ter-minach:

— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny.  
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—  
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Od-działach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorki indywidualni sama-wiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w ter-minach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie samowystających i zastrzega sobie skróty, kierownik działu literackiego przyjmuje intere-santów w poniedziałki i wtorki w godz. 14-18.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lu-belskie Zakłady Graficzne im PKWN Unicka 4 Zam. 948. 1.04.76. r.

Numer łamal: Wiktor Mada, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa  
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1  
Nr indeksu: 36251

Telefon: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.  
Korespondencje zyskie prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

# PRZYGODA Z SERIALEM

Romuald Lenech

**R**OZKOSZNIJE tu jak w raju — westchnął Merlinkiewicz i wyciągnął się na polance otoczonej lasem. Zamknął oczy i przytknął nos do mchu.

— A jaka cisza! — odezwała się zachwycona Merlinkiewiczowa, wtykając dzieciom w dłonie kanapki.

Merlinkiewicz zadumał się głęboko nad czałem przyrody nie skażonej inwazją tłumów. I właśnie wówczas zaniepokoiły go znajome dźwięki. Ciszę zakłócił hałas zbliżających się pojazdów i gwar głosów. Zerwał się na równe nogi.

— Telewizja! — krzyknął podniecony. Zza krzewów wyłonił się kran telewizyjny, z umieszczoną wysoko kamerą i kilka ruchomych reflektorów z wieloosobową obsługą.

— Co pan sądzi o lesie? — zapytał mężczyzna w niebieskich okularach, który zjawiał się jak duch. — Proszę o śmiałą wypowiedź, robimy do kroniki.

— Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las — zdefiniował Merlinkiewicz pierwszą z brzegu myśl.

— Świetnie! — ucieszył się reporter — ma pan poczucie historyczne. A ogólnie mówiąc, jak się pan czuje w lesie?

— W lesie czuję się narazie królem — odparł Merlinkiewicz, przypominając sobie ostatniego brydza i przegraną przez brak króla.

— Zapewne królem Learem? — podsunął pan z telewizji. — Król Lear osiepiłony i pomstujący na swoje wyrodne dzieci, to obraz typowo szekspirowski. Czy interesuje się pan dramatem?

— Im dalej w las, tym więcej drzew — powiedział Merlinkiewicz, pragnąc przedłużyć za wszelką cenę rozmowę.

— Rozumiem: myśli pan o sztuce

Rittnera Wilki w lesie. Zdumiewa mnie pańskie odczytanie i znajomość teatru.

Do Merlinkiewicza podszedł reżyser w żółtej czapce, błękitnej wiatrówce i czerwonych dżinsach.

— Mamy okres gorący, aktorzy zajęci, więc każdy talent na wagę złota. Czy nie chciałby pan objąć roli jakiegoś władcy w nowym telewizyjnym serialu historycznym? — spytał. — Reflektory na pana! — rzucił obstudze.

— Jestem Merlinkiewicz — przedstawił się.

— Może pan, panie Merlinkiewicz, zagrać z powodzeniem rolę króla w wojnie trzydziestoletniej. Ponieważ jednak widzę pana dreszczu współczesnej sensacji, będzie pan równocześnie najstarszym w dziejach partyzantem, który ogłusza wroga z zasadzki za pomocą rozkręconego na pełny regulator tranzystora...

— A moja żona? — wskazał Merlinkiewicz na swoją połowicę.

— Niech pani powie coś o lesie — zwrócił się reżyser do żony zaangażowanego, pożerającej wzrokiem maszynę telewizyjną.

— Zbrodnia to niesłychana, pani zabija pana, zabijasz grzebie w gaju, na łączce przy ruczaju...

— Znakomicie! — ucieszył się reżyser. — Wykazuje pani wrażliwość na element sensacji kryminalnej w powiązaniu z odulnym leniem leśnym. W serialu otrzyma pani rolę lewej królowej, która truje męża za pomocą cyjanku rozpuszczonego w pepsi-coli, następnie z udziałem kochanka zniekształca zwioki celem utrudnienia śledztwa.

— A troje dzieci? — zapytał niepewnie Merlinkiewicz. — Ręczę za ich talent aktorski.

— Posłusz do identyfikacji zwiok — odparł reżyser. — Możecie się państwo natychmiast rozbierać. Całkowicie. Rozpoczynamy natychmiast próbne ujęcia. Nie muszą chyba tłumaczyć, że fala seksu powinna w filmie znaleźć zadowalające odbicie i wyrzeźbić swój ślad artystyczny. Panie Perkuski! — zwrócił się do asystenta — biegnij pan po traktorzystę, który zgodził się grać rolę kochanka.

— Nie pozwalam! — krzyknął Merlinkiewicz przestraszony. — Moja żona nie będzie się publicznie obnażać!

Wyrażając powyższy protest w imieniu obrażonej moralności, trzepnął boleśnie głową o wystający spod mchu kamień.

— Czego się drzesz? — zapytała pieszczotliwie żona. — Zmrużył oko na słońcu nie pozwalasz, głupstwa gadasz przez sen.

Merlinkiewicz otworzył oczy. Z rozczarowaniem stwierdził brak telewizji i brak obsługi. Jedyne gałąź nad głową skrzypiała, przypominając chrobot pojazdu z kamerami telewizyjnymi, po których nie został żaden ślad.

— Wszystko przez ciebie! — warknął. — Ująłem się o twoją cześć przed reżyserem telewizyjnym i straciłem niepowtarzalną szansę na rolę w historycznym serialu. Ty także straciłaś rolę lewej królowej.

— O moją cześć? — zapytała Merlinkiewiczowa. — Ty durniu! Przez głupią zazdrość ominęło nas szczęście, sława i pieniądze! Na drugi raz pozwól mi śnić o telewizji. Już ja to lepiej załatwię!

Na domiar złości, po opuszczeniu legowiska przez rodzinę Merlinkiewiczów, są posłany w kwadrans później po zapomniany termos donioś, iż na polance zajeżdża autentyczna telewizja, aby zrobić interesujący wywiad z kobietą zbierającą po wycieczkowiczach butelki i nadziewającą śmieci na pręt...



## minuta myślenia

### Człowiek to brzmi...

**T**EMAT niniejszego felietonu jest tak plugawy, że sam felietonista niechętnie częstuje nim swoich Czytelników przeprasając, że robi to z konieczności. Z konieczności tej, że opisane niżej wydarzenia jest — niestety — autentyczne, a nie zacierpięte z makabrycznej fantazji skandalizującego autora, co można by skwitować uznaniem za umiejętność szarpania nerwów.

Jak doniosła „Polityka” w numerze 12, właściciel działki pracowniczej PKP nr 118 we Wrocławiu (dłatego nie podane nazwisko?) zastawia na wrony pułapki, po czym schwytane przybija żywcem do drewnianych krzyży. Aż się nie chce wierzyć. Toczą się przez kraj — przez środowiska, szke-

ły, czasopisma — dyskusje o postawach moralnych, metodach pedagogicznych, wzorcach postępowania, o człowieku, którego miano brzmi dumnie, a tu jakby w akompaniamencie do wypowiedzi i wypisywanych słów lekcja poglądowa o dobitności bijącej w oczy. I w sumienia. Kiedy człowiek czyta tę notatkę, nie wie, co ma ze sobą zrobić. Jechać do Wrocławia? Osobiście czuję wstyd, że należę do tego samego biologicznego gatunku, co właściciel działki pracowniczej PKP nr 118 we Wrocławiu. I — panie redaktorze — proszę tego nie wykreślać. Pozwól sobie powołać się na Tadeusza Kotarbińskiego: „Do rodzaju ludzkiego chętnie zaliczę psa; nie zaliczę natomiast raka”. Zwierzę zabija z potrzeby. Nigdy z perwersji.

Kiedy sięgam do treści psychologicznych umożliwiających takie postępowanie, nie wiem na czym zatrzymać myśl. Rwie się wątek logiczny. Jak to? Można taką krzywdę wyrządzić niewinnemu ptakowi — a jeśli li winnemu, to przez to, że jak każda żywa istota potrzebuje jeść i — dalej czuć się człowiekiem? Nie wiem, w jakich realiach toczy się żywot właściciela działki nr 118, ale w jakichś się toczy. Więc po tym np. przychodzi do domu i pyta: „Anusiu, czy już odrobiłaś lekcję?”. Nie go tam gdzieś w środku nie gryzie? Wszystko w porządku? „A teraz, żono, podaj herbatę”. Jeśli tak, to mamy przykład na indyferentyzm moralny zasługujący na potępienie ze strony całego środowiska.

Mówi się, że działka pracownicza to przede wszystkim środek na odprężenie po stressach dnia w warunkach dzisiejszej współczesności i rzeczywistości tak jest. No, można się zgodzić, że jakiś — niewielki — dochód stąd wynika. Trochę cebuli, trochę fasoli. Trochę, bo i działka niewielka. Więc ile z tego zniszczy wrona? Kilogram? Dwa? Za dwa kilogramy fasoli sprzedaje się godność człowieka? Nie do wiary. A może dalej jest się człowiekiem? Odwiedza się działkę, by ją gospodarskim okiem doglądać, podczas gdy na niej trzepocze się ptak przybity do umyślnie w tym celu sporządzonego drewna? I świadomość tego jest miłą towarzyszką prac wiosennych?

W dodatku — co za przezorność. W roku bieżącym ze względu na opóźnioną wiosnę jeszcze się nie nie zasiało, więc wrony są krzyżowane „na zapas”!

Stanowczo nasza publicystyka zbyt łatwo przechodzi do porządku dziennego nad podobnymi wypadkami. Tu nie wystarczy notatka, że dziś ktoś psu poucał nogi, po czym rzucił go na drut kołczasty. Nie wystarczy interwencja zastępcy harczerzy ingerująca w pojedynczy wypadek. Potrzeba — coś poradzić, że cisną się pod pióro słowa sztywne, nie „felietonowe” — moralnej mobilizacji społecznej, ogólnej atmosfery potępienia dla psychopatów „bezpiecznie” wyżywających się na zwierzętach. Marchewki, kiedyś Kot, dostali karę śmierci, bo „robili” to na ludziach. No to dawaj tu psa, konia, wrobla, wronę — o nie mało kto się upom-

ni. A jeżeli się upomni, to go lobuzeria nasz wie świętym Franciszkiem i jest ustawiony. Na polu naiwności.

Nie wykluczone, że niedługo uśmiezek po błaznieniu zawisnie i nad tymi słowami. O co rozdzierać szaty? O te parę gawronów? Nasza społeczność aż huczy od problemów, obraca się młyn zagadnień ekonomicznych, demograficznych, cywilizacyjnych, a tu... Kochani, chodzi nie tylko o parę gawronów. Chodzi o człowieka. Nawet nie jednego właściciela działki. Jeżeli pozwolimy, by z pewnym obszarem naszej wrażliwości robiła się pięta, zaczęliśmy przepadać jako gatunek ludzki, będziemy coraz bardziej stawali się podobni do zespołów narzędzi zwanych robotami, przed czym słusznie przestrzegają niektóre futurologiczne powieści o refleksyjnym i moralnym nachyleniu. Utylizaryzm ograniczający postawę humanistyczną jest nie tylko jednostronny. Jest szkodliwy. Prowadzi do uwiadu pewnych obszarów życia ludzkiego, kalecząc w ten sposób ludzką jednostkę, bo jej organizm psychiczny, jak ograniczeniem w funkcjonowaniu organizmu biologicznego jest np. wyjęcie jednego płuca. Jeżeli nie chcemy do tego dopuścić, musimy się bronić. Musimy się bronić przed zatruciem środowiska moralnego. I jest to zagadnienie współczesnego świata. Z którego słowo „człowiek”, słowo „kultura” jeszcze nie zostały wymazane.

Ijon

# bez bytów

## POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

Co się jednak dzieje dalej? Ryszard Brantwetter robi z siebie wariata, udaje, że nikogo nie dostrzegł, zajmuje miejsce przy innym stoliku, w drugim rogu sali, i omal nie spada z krzesła. Widzi, widzi jak na dłoni: do stolika, przy którym siedzi jego małżonka, zbliża się lekko szpakowaty brunet, wyciąga rękę i czyni ruch — Ryszard nie ma wątpliwości, co to za ruch! Nieznajomy usiłuje cmoknąć Brantwetterową w policzek. Ta uchyla się, czyni to jednak niezręcznie, rzuca w stronę meza spojrzenie, które mówi wszystko, a potem gwałtownie odwraca twarz. Ryszard Brantwetter nie ma już żadnych wątpliwości. Jego potowca ma kochanka. Krąg się zamyka.

Nie było już sensu czekać na Irmę. Kiedy przed Ryszardem zjawia się kelnerka, usłyszał zamiast tradycyjnego „mała czarnej proszę” dwa słowa — „stara dziwka”. Ponieważ „klient nasz pan”, udala, że nie dostrzegł i zagadnięcie ponownie:

— Stucham pana.

— A nie, nie... Ja mówię do siebie. Dziękuję pani. Już wychodzę.

Rzucił jeszcze jedno spojrzenie w kierunku żony. Teraz stolik dla niej był szafotem. Szafotem Marii Antoniny.

Był już na postoju taksówki, gdy dostrzegła go Irma. Pobiegła do niego.

— Bardzo przepraszam za drobne spóźnienie. Nie mogłam wcześniej wyrwać się z domu. Ale ty co? Obrzileś się?

— Nie. Absolutnie. Proponuję jednak przelożyć nasze spotkanie.

— Nie bój się. Jednak naprawdę się obrzileś. Zrozum, że nie mogłam być wcześniej.

— Wszystko w porządku. Wcale, ale to wcale się nie gniewam. Wprost przeciwnie. Zadzwonię do ciebie i wszystko ci wytłumaczę. Na razie jednak muszę się ulotnić. Pa!

— Pa, pa! — Wyduła wargi. — Zawsze byłeś tajemniczy.

Podjechała taksówka. Podał adres, adres, pod którym mieszkała Elżbieta.

Ryszard Brantwetter był cenionym i solidnym projektantem. Cieszył się autorytetem u podwładnych i uznaniem zwierzchników. Mówiono o nim „solidna firma” tylko... Nie, nie pil specjalnie. Pod tym względem należał raczej do abstynentów. Znacznie gorzej przedstawiała się natomiast sprawa tzw. pięci odmiennej. Pan inżynier lubił dziewczęta. Każda jego kolejna wybranka była młodszą od poprzedniej. Gdyby tak dokładnie policzyć, nie znalazłoby się ich znowu tak wiele. Ale ludzkie języki to rzecz straszna. Dodawano, upiększano i Ryszard miał opinię największego Casanowy. Wiedział o tym, nie usiłował nawet prostować, zuluszcza że w ciągu dwudziestu lat małżeństwa upadł tylko jeden raz i to niezbyt groźnie. Toteż w kamienicy, przeciwnia niż w pracy, uchodził wśród sąsiadów za wzór statecznego małżonka.

Elżbieta to była ta ostatnia. Jak się zaczęło? Teraz, jadąc taksówką, przypomniał sobie ich pierwsze chwile. „Lublinianka”. Wszystkie stoliki zajęte. Już chciał wyjść, kiedy spojrzenie jego zatrzymało się przy oknie. Tam, z boku siedziała samotnie dziewczyna. Ale jaka dziewczyna! Diana! Najprawdziwsza Diana spod dęta Fidasza. Nie mógł oderwać wzroku od jej ramion. Już w myślach catował te napełnione wargi. Pięścił te oczy. Zdecydował się i podszedł do stolika.

— Przepraszam, czy mogę? Ja tylko na chwilę. Chciałem się napić kawy.

Czynił solidne wrażenie. Nie wyglądał na podrywacza. Zgodziła się. Umieściła się naturalnie. Rozmowa potoczyła się gładko. O Ryszard Brantwetter umiał opowiadać! Ostatnio nieco jeździł po świecie, miał sporo tematów. Szybko zaimponował dziewczynie.

To było przed pół rokiem. Później wszystko rozwijało się szybko. Uczynny przyjaciel, mieszkający na kawalerce, używał mu klucze od mieszkania. Spotykali się tam po kilka razy w miesiącu i to były najpiękniejsze popołudnia najpiękniejsze wieczory, jakie tylko można sobie wymarzyć.

Ostatnio zauważył jednak, że coś między nimi zaczęło się psuć. Spotkania stały się rzadsze. Elżbieta tłumaczyła się, że ma więcej nauki. Zaczął ją podejrzewać. Kiedyś zobaczył, jak idzie pod rękę z młodym chłopakiem. Kiedy później pytał ją, kto to taki, usłyszał, że brat przyjechał na kilka dni z Luonicza. To sta maczenie wziął za dobrą monetę, tym bardziej że Elżbieta jakby znów stała się czulsza. Pożyczyła od niego dwa tysiące złotych. Właściwie nie pożyczyla, sam jej uciął, bo chciał, aby lepiej się ubrała. Zresztą zdawał sobie sprawę, że u niej się nie przetewa. A teraz? A teraz wyszedł na jelenia. Jego syn, Jurek, wdział coś więcej. Nie miał żadnego powodu, by klamać. A może? A może chciał po prostu intrygą doprowadzić do zerwania? A czy z kolei wdział coś złego o matce?

Dziesiątki pytań cisnęły się na usta. Tak, dziesiąt! musiał dojść do decydującej rozmowy. Albo w tę stronę, albo w tamtą. W tamtą? Rozwiąć się? Zacząć nowe życie? Nie jest przecież taki słary.

Taksówka zatrzymała się.

— Płać pan 17,50! (cda)

Z nadesłanych tekstów wykorzystaliśmy częściowo propozycję Czesława Morawskiego ze Słup-ska i Janiny W. (na prośbę autorki nie podajemy nazwiska) z Lublina. Na odcinek szósty czekamy do 23 kwietnia. Prosimy czytelników, aby nie zrażali się. Nie jesteśmy w stanie wykorzystać każdego tekstu, a staramy się, by akcja jak najbardziej pogmatwała, dbamy również o to, by były różnice w samym stylu. Być może, że w przyszłości urządzimy spotkanie autorów naszej powieści — zabawy. Dobry żart — kawę wart!